Nr. 296. We Lwowie Wtorek dnia 25 Października 1898 r. Rok XXXI.

Przedpłata wynosi we Lwowie:
Rocznie 18 zł. — półrocznie 9 zł. — kwartalnie 4 zł. 50 ct. — miesięcznie 1 zł. 50 ct., za przesyłkę do domu dopłaca się 20 ct. miesięcznie.
Z przesyłką pocztową w państwie austrjackiem, rocznie 24 zł. — półrocznie 12 zł. — kwartalnie 6 zł. — miesięczni 2 zł.
Z przesyłką pocztową za granicę do całych Niemiec rocznie 50 marek — kwartalnie 12 marek 50 fenigów — do Francji, Anglji, Włoch i Szwajcarji rocznie 80 franków — kwartalnie 20 franków.
Biuro Redakcji „Dziennika Polskiego,“ plac Marjacki liczba 6 i 7. — Telefon Nr. 171.
Rękopisów Redakcja nie zwraca.
Numer „Dziennika Polskiego" kosztuje 6 ct

DZIENNIK POLSKI

wychodzi codziennie nie wyłączając niedziel i świąt o godzinie 8. rano.

Bohaterstwo wiary i nauki.

Lwów 24 października.

Po nad wszystkimi wypadkami politycznymi w Austrji, góruje w tej chwili dżuma wiedeńska... W roku jubileuszowym sędziwego monarchy Austro-Węgier, Opatrzność — jak gdyby dla dopełnienia miary tylu ciężkich zesłanych mu doświadczeń — uderzyła w ukochaną jego stolicę nowym, zupełnie niespodziewanym i nigdy chyba nieprzewidywanym gromem... zarazą azjatycką. To, co miało służyć dobru ludzkości, co z własnem zaparciem uczonego badacza, przedsiębrane było w cichej pracowni bakterjologicznej gwoli zwalczania strasznej plagi Hindusów, przez prosty — niewytłumaczony do tej pory — przypadek, zamieniło się groźnie w zapowiedź nieobliczalnej klęski. Dziwna zaprawdę ironja losu... O tysiące mil od ojczyzny zabójczego zarazka, w jednej z pierwszych stolic Europy, gdzie wszystkie zdobycze cywilizacji na każdym kroku hojnie nagromadzone się spotyka, przez ślepy — powtarzamy — przypadek wybucha nagle katastrofa zarazy i dreszcze śmiertelne mrożą półtoramiljonową ludność, pozbawiając ją humoru, snu, apetytu, niemal ochoty do życia... Przez szereg dni, jak wieczność długie, zanim fakty uspokoją wreszcie mocno dziś strwożone umysły, ów drobniuchny, dla nieuzbrojonego mikroskopem oka zupełnie niewidzialny wróg ludzkości, trapić będzie najśmielszych przeczuciem nieubłaganej śmierci, a strapienie to do reszty gotowo zdenerwować mieszkańców Wiednia, od długiego już czasu w sztucznem a szkodliwem rozgorączkowaniu żyjących. Wszelkie uspokojenia najwyższych rad sanitarnych i fizykatów, nie wiele pomogą w tej mierze. Strach ma „wielkie oczy“ — a z wszystkich strachów, strach przed śmiercią najpotężniejszy!

Na tem tle czarnem i ponurem, jak kir na ścianach przedpogrzebowej kaplicy, w jak wspaniałem zaprawdę świetle idealnego, Chrystusowego iście zaparcia, — zupełnie w duchu, postawionej za dogmat nowej wiary, nauki Zbawiciela o czynnej miłości bliźniego, — występuje na jaw to wielkie bohaterstwo zarówno kapłana, którego jeno przemocą powstrzymano od łoża dra Muellera, jak owych cichych, skromnych szarytek, bez cienia śmiertelnej trwogi oddających swoje życie na usługę zadżumionego, jak w końcu owych lekarzy, którzy z całą świadomością niebezpieczeństwa nie wahają się jednak spieszyć do zapowietrzonego z pomocą... bezskuteczną niestety! I czytając relacje z Wiednia z dni ostatnich, żywo przypomina się opowieść pisma św. o trędowatym, do którego jeden Syn Boży zbliżył się bez wstrętu i bojaźni, aby mu dać ukojenie.

I równocześnie przychodzi na myśl, że 19 stulecie musiało wpierw zapaść się w mrok dziejów, zanim kwiat bujnie rozrośniętej cywilizacji swoją wonią i barwą zbliżą się nareszcie do idealnej treści boskich słów najświętszego Mistrza, zanim te tak proste formą, a taką bezdenną głębią uczuć zawierające w sobie Jego wyrazy: „kochaj bliźniego, jak siebie samego“ z martwej litery Nowego Testamentu, stają się zwolna potężną dźwignią moralną w życiu doczesnem społeczeństw. Co prawda — ciągle jeszcze patrząc na ogół spraw ludzkich, *homo homini lupus* i duch nowożytny wysila się formalnie na wynalezienie coraz to nowych, a coraz straszniejszych narzędzi morderczych, aby niemi przyrządzać hekatomby dla Molocha wojny... I walka o byt powszedni, co dzień cięższa, co dzień zajadlejsza, stwarza w mózgach coraz nowe fortele dla pokonania współbliźnich. Z tem wszystkiem przecież coraz to więcej bohaterów w najpiękniejszem tego słowa znaczeniu, wyrasta gdzieś z pod ziemi w chwili ogólnej trwogi i zimne samolubstwo — uważane nie bezpodstawnie za wykładnik naszych czasów — pierzcha z serc, jak mroźna mgła zimowa przed ciepłem i blaskiem słońca. Przeświadczenie, że tak jest w istocie, że nawet widok strasznych męczarń przedzgonnych i śmierci niechybnej, nie odstrasza szlachetnych jednostek od usług Samaratyńskich, to przekonanie błogiem i słodkiem uczuciem napełnia piersi nasze, uzbraja w spokój, nowe, pogodne i słoneczne horyzonty dla spracowanej, zbiedzonej ludzkości roztacza przed okiem ducha myśliciela. Źle nam jest ciągle — to prawda! — ale idzie stanowczo do lepszego!

A na tej drodze, żmudnej i ciernistej, niby drogowskazy, rozsiewające w okół snopy jasnych blasków, stoją duchy bohaterów wiary i nauki, które bez niechęci i trwogi ofiarowują swoją powłokę ziemską na ołtarzu przepięknej miłości bliźniego.

„Rozmowy polityczne“.

W czwartym *Liście politycznym* interlokutor p. B—sowa wyjaśnia swoje stanowisko względem „wileńskiego planu“, mówiąc, że już przed jego powstaniem był stronnikiem „od polszczenia katolików zachodnio-rosyjskich“ wszelkimi środkami, nie wyjmując ani kazań rosyjskich, ani nabożeństwa dodatkowego w języku rosyjskim. Sympatycznymi też są dla niego poglądy pewnego męża stanu, który zarzucał ministrom, że za mało mają „śmiałości“. Ale, według jego zdania, śmiałość ta powinna być taką, ażeby potem można było powiedzieć; zasługuje nie na karę, ale na łaskę; nie posłuchałem rozkazów, ale spełniłem rzecz dobrą. Ale śmiałość taka, która nawarzy piwa, a potem każe je pić władzom, jest godną potępienia.

Żeby się na coś odważyć, trzeba przedtem grunt przygotować, ale niema racji powoływać się na świadectwa kronikarzy średniowiecznych, którzy mówią, że granice Rosji obejmowały Litwę, albo na wspomnieniach o uciskaniu prawosławia przez Skargę, lub Józafata Kuncewicza, aby na tej zasadzie działać teraz w przeciwległym kierunku, po upływie tylu lat i przy warunkach bynajmniej nie tych samych.

Na uwagę p. B—sowa, że chodzi tu jedynie tylko o danie Rosjanom możności modlenia się w języku rosyjskim, interlokutor odpowiada wspomnieniom z czasów Mikołaja I. Car mianowicie, dowiedziawszy się, że w kościele carsko-sielskim, gdzie leżą zwłoki księżnej Łowickiej i gdzie czasem zbierały się damy z wyższego towarzystwa, ksiądz zaczął miewać kazania po rosyjsku, wydał rozkaz, że można wygłaszać nauki kościelne we wszystkich językach, oprócz rosyjskiego. Rozkaz ten stał się prawem. Kiedy zaś Katkow wystąpił z dowodzeniami, że w kraju zachodnim należy oddzielić katolicyzm od polskości, zebrano wszelkie materjały potrzebne, uznając sprawę tę za „nadzwyczaj ważną dla państwa“ i ostatecznie, wbrew zdaniu ówczesnego oberprokuratora synodu rządzącego hr. Tołstoja, wyjednano zniesienie zakazu cara Mikołaja I., nietylko względem kazań, ale też względem nabożeństwa dodatkowego w parafjach, w których ludność tego zażąda.

— Czyż to rzecz możliwa, żeby hr. Tołstoj bronił zakazu? — zapytał p. B—sow.

— Nietylko wówczas — brzmiała odpowiedź — ale i później hr. Tołstoj zawsze był zdania, że kazanie rosyjskie i nabożeństwo dodatkowe w języku rosyjskim jest bronią obosieczną. Niepodobna było go na tym punkcie przekonać, i nawet za każdym razem zdanie swe formułował w jednakowy sposób. Dobrze znał on nietylko ducha, ale i historję katolickiego prozelityzmu, zwłaszcza w Rosji. Przedewszystkiem uznawał za możliwe, że miejscowe duchowieństwo katolickie samo chwyci się tego pozwolenia, i że niepodobna będzie dojść z niem potem do ładu. Mając umysł jasny, zapatrywał się ze sceptycyzmem na wszystkie zbyt wiele obiecujące plany, nacechowane szumnymi frazesami. Będąc oberprokuratorem, znał stan kościoła prawosławnego w zachodniej Rosji podczas dwudziestolecia po zniesieniu unji i był przekonany, że jesteśmy gorzej zorganizowani do walki na równych prawach, aniżeli nasi przeciwnicy.“

Do reformy — zdaniem interlokutora p. B—sowa — wzięto się źle: ludowi, który przywykł do swoich kantyczek i książek nabożnych, powiedziano, że odtąd ma się modlić z nowych książek, rosyjskich.

— Przecież — mówi oponent — i pańscy przodkowie pochodzili zdaje się z Tatarów. Fakt to dla pana pewny i stwierdzony dokumentami. Jednak bardzo to zadziwi pana, gdy pana z pewnem naleganiem zaproszą do tego, abyś pan się modlił, siadłszy w kuczki i czytając koran?

— To rzecz zanadto naciągana. Różnica między polską a rosyjską książką do nabożeństwa nie jest tak wielką.

— Dla pana i dla mnie — odrzekł oponent — może tak, ale nie dla mas ludowych. Zapominasz pan o tem, że i proces polonizacji i katoliczenia odbył się nie odrazu, ale w ciągu wieków i przytem osiągnął tylko rezultat cząstkowy. Według mego obliczenia, liczba katolików Rosjan w 8 gubernjach zachodnich (Żmudzi kowieńskiej nie rachuję, gdyż stanowi osobne plemię) nawet teraz nie przewyższa miljona, a tymczasem za Katarzyny II i Mikołaja I od unji odpadło z górą 5 milj. ludzi, których potomstwo teraz się podwoiło.

Teraz — zdaniem oponenta — zamiast wpiywać na to, aby ten miljon ludzi rzeczywiście odczuł potrzebę modlenia się po rosyjsku, skomponowano plan, dążący do celów, wprost sprzecznych z poglądami rządu w chwili, gdy został odwołany zakaz miewania kazań w języku rosyjskim. „Według tego planu p. Władimirowa, razem z odpolszczeniem kościoła katolickiego, katolicyzm stanie się wkrótce w stosunku do prawosławia unją i wstąpi na drogę prowadzącą do prawosławia. Wyraźnie o tem jest tam mowa, że „miljony“ zachodnio-rosyjskich katolików powrócą do narodowości orsyjskiej, a zarazem do prawosławia.“

Kilka słów o dżumie.

II. „Od powietrza, głodu, ognia i wojny — uchowaj nas Panie“, modlą się wierni codziennie. — Już z tej modlitwy możemy mieć wyobrażenie jak straszne musiały być spustoszenia, jakie morowe powietrze pozostawiło po sobie, ilekroć naszą ludność nawiedziło. Badając źródła historyczne przekonujemy się, że epidemje dżumy są opisywane już w starożytności np. przez Thucydydesa. W języku jednak tych pisarzy medycznych jak i późniejszych z czasów średniowiecznych, oznacza „zaraza“ nietylko wyłącznie dżumę, lecz w ogóle różne epidemje chorób zakaźnych, cechujących się szybkiem rozszerzaniem się pomiędzy ludnością, a połączonych z wielką śmiertelnością.

Według zapisków różnych pisarzy grasowała dżuma w Marsylji w r. 503 po Chr., a następnie w r. 588. W wieku VII do X pojawia się ta choroba w Bizancjum, Rzymie, Francji i Niemczech. W XII i XIII wieku nawiedza Europę kilkakrotnie, dziesiątkuje np. wojska krzyżowców, w r. 1270 umiera na dżumę król francuski Ludwik IX święty. Dokładne wiadomości o jednej z najstraszniejszych epidemij moru, jaki nawiedził prawie całą Europę znamy z lat od 1349 do 1352. Chalie de Vinario, Dionysjusz Colle, Gabrjel de Mussis, a zwłaszcza Boccaccio nadzwyczaj żywo odtwarzają nam obraz owej strasznej klęski, kiedy np. w jednej tylko Florencji porwał mór 100.000 ofiar. Dopiero w XVII wieku ustają epidemje tak rozległe, jakkolwiek pojawiają się jeszcze kilkakrotnie i odznaczają się zawsze nadzwyczajną śmiertelnością.

Już wówczas widzimy pewne zarządzenia ze strony rządów europejskich, mające na celu ograniczenie zarazy i tamowanie dalszego jej szerzenia; zaczynają bowiem rządy ustanawiać kwarantanny, przeprowadzają system odosobnienia *(Sperrsystem)* itp. Szczególnie nadawała się do skutecznego przeprowadzenia takiego systemu przez swe geograficzne położenie Anglja i tem się też da wytłumaczyć, że Anglja przebyła ostatnią epidemję dżumy jeszcze w r. 1665, Irlandja zaś jeszcze wcześniej, bo w r. 1650. Francja północna i Szwajcarja nie zaznała tej klęski od r. 1668. Hiszpanja od r. 1657, Niemcy zachodnie od r. 1667, a wschodnie 1682. W innych krajach europejskich grasuje jeszcze ciągle ta straszna zaraza w pewnych odstępach czasu i tak Siedmiogród, Węgry, Rosja południowa, Polska, Dalmacja, czyli krótko mówiąc kraje sąsiadujące z Turcją, bywają nawiedzane morem od roku 1717 aż do 1797.

W Europie zachodniej zdarza się w tym czasie tylko jeden raz ograniczona mała epidemja w r. 1743 w Messynie, dokąd został zarazek zawleczony na okręcie, wracającym ze Wschodu.

Także i w XIX wieku zostaje jeszcze kilkakrotnie przeniesioną na okrętach dżuma do Europy — nie uwzględniając półwyspu Bałkańskiego i krajów z tym półwyspem bezpośrednio sąsiadujących — np. w r. 1813 wybuchła dżuma w Malcie, w r. 1815 w małej przystani Noja, a w r. 1820 na wyspach Balearskich (Mallorca).

W najnowszych czasach pozostały oprócz Chin i Indyj, gdzie dżuma zdaje się być stale zagnieżdżoną, jeszcze cztery ogniska tej choroby, z których dżuma gwałtownie się rozszerzając kilkakrotnie zagrażała Europie. I tak w r. 1853 pojawia się dżuma (po 21-letniej przerwie) w górzystym kraju arabskim Assir, należącym do północnego Yemenu; w r. 1874 wybucha tam po raz drugi, a w r. 1879 po raz trzeci.

Drugie ognisko tej zarazy tworzy zatoka Tripolis: mianowicie po 15-letniej przerwie wybucha mór w Benghari w r. 1859, a w r. 1874 niedaleko ztamtąd na wyżynie Kyrenaika.

Trzecie ognisko tej choroby powstało w Persji, która była od r. 1835 do r. 1863 wolną od dżumy, w tym jednak roku wybucha epidemja w kurdystańskiem mieście Maku i w jego okolicach, a w r. 1870 na wyżynie Uraniah, w r. 1876 zbliża się już na 25 mil na południowy zachód do morza Kaspijskiego w prowincji Chorossan, a w r. 1877 pojawia się tuż nad zatoką morza Kaspijskiego w Reszu.

Czwartem wkońcu ogniskiem moru była Mezopotamja, która była wolną od tej epidemji od r. 1834 do r. 1866 — chociaż sporadyczne wypadki tej choroby miały się i w tym okresie pojawiać nad bagnistymi brzegami Eufrata. W r. 1866—1867 zginęło w pięciu małych miejscowościach 300 ludzi, a w r. 1873 przybrała epidemja groźne rozmiary w miastach Hilleh, Nedjef i Kerbela; w miesiącu lipcu 1874 porwała epidemja 5% ludności, w czasie zimy rozszerzyła się na dolinę Tygrysu tak, że już w marcu 1876 pojawił się ten straszny gość w Bagdadzie. W tym roku przeszło 20.000 osób zmarło na dżumę.

Do dzisiaj nie wyjaśniono, czy dżuma, która się w r. 1879 pojawiła w Saratowie i Astrachanie została zawleczoną z Mezopotamji, czy też z Persji. Dla zbadania tej choroby i przypatrzenia się jej zbliska, jeździł wówczas z innymi późniejszy medyk lwowski dr. Biesiadecki i ogłosił następnie swe sprawozdanie w *Przeglądzie lekarskim* z r. 1879.

Kraje rzeczy pospolitej polskiej, a z nimi też i miasto Lwów były nadzwyczaj, często nawiedzane klęską morową: przyczyną tego było geograficzne położenie naszego kraju tak bardzo zbliżające nas do Turcji, a przez nią do Azji, głównie owa nader ożywiona kumunikacja ze Wschodem. Według Wejnerta powstawały najczęściej epidemje morowego powietrza skutkiem głodu po wojnach oraz spustoszeniach, jakie wyrządzała szarańcza. Mimowoli przychodzi tu na myśl, czy też w tych razach właśnie, ta szarańcza nie była przenośnikiem dżumy z dalekich stron. Tak było np. w r. 1590, przyczem nadzwyczaj dokładnie są opisane objawy tej choroby. Kronikarz notuje dosłownie: „Powietrze zwykło wkradać się od strony Turcji i Azji.“

W XI wieku opisuje Długosz morowe powietrze w Kijowie, gdzie w 1090 roku zmarło w ciągu 2 tygodni 7000 osób. W r. 1221—24 dziesiątkuje mór w Polsce liczne miasta i wsie. W r. 1360 porywa dżuma w samym Krakowie 20.000 ludzi, a w roku 1386 wyludnia ta straszna choroba w tym stopniu Smoleńsk, że ze wszystkich mieszkańców zaledwie 10 osób pozostaje przy życiu. W roku 1472 nawiedza epidemja Kraków, a w r. 1548 umiera na mór w Krakowie 20.000 (Kronika Bielskiego). Wielkie spustoszenia wyrządza mór w całej Polsce w r. 1623 do 25. W r. 1624 grasuje epidemja w Warszawie i tam pada jej ofiarą do połowy maja 2.375 osób, tj. blisko 1/20 część ludności miasta.

Miasto Lwów, podobnie jak i wszystkie inne ówczesne miasta, cierpiało na liczne braki w hygjenicznych urządzeniach miejskich, a ponieważ brało udział nadzwyczaj żywy w handlu ze Wschodem, to też nic dziwnego, że zarazek dżumy przywieziony np. w materjach, dywanach lub też innych towarach wschodnich, łatwo znajdował tutaj podatny grunt do rozmnożenia się i wkrótce wybuchała epidemja w całem mieście, rozszerzając się też i na jego oko-

Człowiek, jego istota i przyszłość.

„Patrz na swego psa — mówi Schoppenhauer — jaki on spokojny i uradowany. Tysiące psów musiało umrzeć, zanim ten mógł żyć, śmierć jednak tych tysięcy w niczem nie powstrzymała idei gatunku. Oto, dlaczego pies ten jest tak żywy, tak pełen siły, iż zdaje się, jakby to był pierwszy dzień jego istnienia, jakoby nigdy nie miał nastąpić ostatni, jakoby w oczach jego jaśniała niezniszczalna zasada w nim istniejąca. Zwierzę żyje teraźniejszością, używa trwałości swego gatunku, gdyż ma jedynie świadomość teraźniejszości, nie jest świadome przyszłości. Lecz człowiek obdarzony rozumem porównywa marność swych dóbr z ogromem swego pragnienia. Niektórzy zamykają oczy, by nie widzieć przepaści, usypiają się na pewien czas, ale wcześniej lub później myśl o śmierci lub śmierć sama przychodzi ich zbudzić, a przebudzenie to umierającego, który opiera się i przeraża, okropne i śmieszne zarazem przedstawia widowisko“.

Nie nowa jest ta ewangielja pessymizmu, którą niemiecki myśliciel zamknął w swojej *Welt als Wille.* Zdaje się, że odkąd istnieje ludzkość historyczna, odkąd umysł człowieka, oswobodziwszy się z pierwszych podstawowych zapasów z naturą i niższym światem organicznym, zaczął zastanawiać się nad swoją rolą w ogólnej harmonji istnienia, pojawić się musieli już pierwsi pessymiści. Na 2400 lat przed nami Sakya-Muni ogłosił swoją filozofję nirwany, a dwie wielkie cywilizacje starego świata: grecka i rzymska ostatnie swoje tchnienie wydały w okrzyku pogardy dla znikomości życia. Nasz wiek, nie będąc wynalazcą pessymizmu, nie zdołał się też uwolnić od jego beznadziejnych uścisków, w które po krótkiej pogoni za szczęściem i łatwem bankructwie ideałów leci tysiące wrażliwych umysłów. Wzmożona łatwość wzajemnego udzielania sobie myśli drukiem i słowem, a przedewszystkiem wzrastające uniezależnianie się od natury, które nadmiar naszych sił intelektualnych odprowadza w kierunku spekulacji nad istotą życia, sprowadziły jednak większą rozlewność pessymizmu, niż w jakiejkolwiek innej epoce, a wyrazem jej są setki i tysiące dzieł sztuki, w których zmęczony duch ludzki wypowiada swoje najwyższe cierpienia.

O ile znużenie to i rozkład nie znajdują odpływu w religji, przyrzekającej człowiekowi szczęście wieczne jako wynagrodzenie za doczesny brak proporcji pomiędzy upragnionem a osiągniętem, stanowią one tragedję zamkniętą w sobie, bez wyjścia. Taki był stan rzeczy, dopóki nie wyłonił się na grobie dotychczasowych spekulacyj filozoficznych pozytywizm ze swoim wzrokiem wpatrzonym w dół i nie ujął w swe ręce śmiałej próby zastąpienia człowiekowi religji objawionej. Źródło nowej mocy, nowego pokrzepienia ma dla nas wytrysnąć z laboratorjów i gabinetów uczonych, z mozolnego odcyfrowywania hieroglifów natury. Wprawdzie Humbold, oddawszy światu wyniki swoich genjalnych badań, wyrzekł, iż wszystko jest dla myśliciela zagadką i że największem szczęściem jest urodzić się płaskogłowym głupcem — ale ten tragiczny finał dociekań wielkiego ducha nie popsuł dobrej miny pozytywizmowi.

Komórka umiera, ale człowiek trwa pomimo to, umiera człowiek, ale trwa gatunek, umiera gatunek, trwać będzie byt wieczny — bo wszystko jest ciągłem przeobrażaniem się. Nie ma więc śmierci w przyrodzie, jest tylko ustawiczne „stawanie się“ i nieustająca odmiana. Oto jezt cudowne źródło, które ma uzdrowić chore dusze, nie mogące odzyskać straconej równowagi psa schoppenhauerowskiego. Człowiek w miarę poznawania praw, rządzących przyrodą, powinien — jako jednostka społeczna szukać szczęścia w rozszerzaniu swojego „ja“ i zatopieniu go w liczniejszem „my“, jako jednostka przyrodnicza szukać zadowolenia w postępie gatunku i w roztopieniu się w oceanie jego niezniszczalnego życia, które trwa pomimo smierci indywidualnej.

Idee te rozwija dr. Antoni Złotnicki w swojej świeżo ogłoszonej książce: „Człowiek, istota jego i przyszłość“. (Warszawa 1898, str. 205). Rozpoczynając od badania istoty życia, które sprowadza do ruchu, i od omówienia poszczególnych form umysłowości ludzkiej, zastanawia się kolejno nad społeczną rolą człowieka, jego ideałami, dążeniami filozoficznymi, estetycznymi, etycznymi, wreszcie nad wartością życia i przyszłością człowieka. Najwięcej obchodzi go jego rola w społeczeństwie. Cały rynsztunek swojego rozumowania obraca na to, ażeby zniszczyć arystokratyczny indywidualizm, a uzasadnić rację bytu demokratycznego zrzeczenia się. Tak jak psychiczna indywidualność człowieka sprowadza się do szeregu osobowości kolejno po sobie następujących, które posiadając strumieniowy charakter, wiążą się ze sobą w całość, tak samo rola człowieka w społeczeństwie wyklucza odosobnienie się jednostki. Człowiek nawet pod względem biologicznym jest wytworem społecznym (na życie jednostki złożyły się tysiące egzystencyj poprzednich) i z kolei rozprószy się również w społeczeństwie przez potomstwo. Nie żyjemy więc na świecie sami przez się, ale przez ludzkość, jesteśmy formą przejściową, wyłonioną z przeszłości.

Wszystko, co w nas jest najistotniejszego: organizm, temperament, popędy, przyzwyczajenia umysłu, odziedziczyliśmy po naszych poprzednikach. Czujemy, myślimy i działamy przez nich. Nasza wędrówka życiowa jest dalszym ciągiem ich wędrówki, nasze zdolności, pragnienia, wzruszenia — dalszym ciągiem ich pragnień i wzruszeń. Wprowadzeni przez nich, kierowanych ślepym popędem miłości, na scenę świata, odgrywamy przekazaną nam przez nich rolę w dramacie ludzkiego istnienia, aby z kolei ciąg dalszy narzucić naszym następcom. Cały swój byt zawdzięczamy umarłym, jak teraźniejszość zawdzięcza swe istnienie przeszłości. Ich zagasłe życie — jest teraz naszem życiem. Są oni umarłymi tylko indywidualnie; społecznie żyją bez przerwy. Nasze życie sięga tak daleko w przeszłość, jak dalekiem jest pierwsze drgnienie substancji organicznej na powierzchni ziemi i trwać będzie dopóty, dopóki człowiek istnieć nie przestanie. Jako streszczenie przeszłości i zawiązek dalszego bytu jesteśmy nieśmiertelni.

Tak wygląda kwintesencja rozumowań, uzasadniających społeczny charakter jednostki ludzkiej. Scharakteryzowawszy człowieka, jako ustrój mechaniczny, stara się autor odeprzeć zarzut, że nauka, przyjmując za główną cechę bytu determinizm, tj. ślepą konieczność następstw bez współdziałania wolnej woli, musi ubezwładnić naszą przedsiębiorczość i wszelkie celowe porywy. Wniosek taki uważa za błędny i przeciwnie: w determinizmie upatruje warunek istnienia w nas samodzielności. Gdyby natura istniała indeterministycznie, panowałby chaos i wtedy nie moglibyśmy nic przewidzieć, a więc nic budować, bo wszelka praca celowa jest możebna tylko przy istnieniu pewnego stałego, niczem nienaruszonego porządku w przebiegu zjawisk.

Podobnie dzieje się z ideałami, tem uzupełnieniem naszego życia rzeczywistego. Nauka nietylko ich nie gasi, lecz owszem potęguje je i stwarza grunt dla ich zrealizowania, podczas gdy metafizyka prowadzi do nirwany. Lgną do niej tylko jednostki, odznaczające się niedostatkiem sił żywotnych, bankruci życiowi, lecz skargi ich na nędzę istnienia zagłuszone zostają warczeniem kół maszynowych, hukiem młotów, wykuwających nową formę budowy społecznej, i pieśnią wiary w urzeczywistnienie braterstwa wszechludzkiego. „Zdrowi“ ludzie nie odczuwają bólu egzystencji, kroczą bowiem po rozwojowej drodze życia, która nie zna zmęczenia i wypoczynku. Są to pozytywiści. Pozytywizmowi zawdzięcza człowiek wszystko, co zdobył dotychczas — wszystko bowiem zawdzięcza doświadczeniu. Ono uczyniło go panem ziemi, kierownikiem sił przyrody, ono stworzyło nawet umysł ludzki, który jest tylko wytworem doświadczeń. Wyjść po za granice doświadczenia jestto unicestwić się.

Znamy już to. Znamy także uzasadnienie etycznych uczuć ludzkich. Istnieją one w nas dlatego, ponieważ okazały się korzystnemi dla ludzkiego gatunku, są tak samo wytworem przystosowania, jak ręce i nogi. Jeżeli mamy wobec natury pozaspołecznej obowiązki, od których

lice. Jak często się to trafiało, możemy sobie z tego jednego szczegołu wyrobić zdanie, że Dyonizy Zubrzycki w swej „Kronice miasta Lwowa" wspomina w czasie od r. 1479 do 1721 aż ośmnaście razy o panowaniu epidemji powietrza morowego we Lwowie*). Szczególnie miała się dać we znaki ta epidemja miastu w r. 1569 i 1599 („okropne powietrze we Lwowie, że gdy ptak ponad miasto leciał, padał i zdychał) i r. 1623. Przytaczam ustęp opisujący tę epidemję w tym roku dosłownie:

„Powietrze morowe, ogień, głód i woyna srożyli się nad miastem, iak nigdy ieszcze do tego czasu. Pewny kapłan zakonu Karmelitów zaniósł z sobą zarazę z Krakowa. Wymarło w krótce w klasztorze pietnastu księży i powietrze rozciągło się z niesłychaną srogością po całym mieście, przedmieściach i okolicy. Ustał wszelki handel i przemysł, sądy zawieszono, wszelkie socialne związki zerwane, możnieysi i kto tylko mógł, uciekali z zapowietrzonego miasta, szukaiąc po wsiach schronienia przeciwko morowi. Ponieważ członki urzędu radzieckiego rozbiegli się lub wymarli, przeto naywyższy rząd w mieście pozostał w ręku burmistrza i doktora medycyny Marcina Kampiana, który pozostał dla utrzymania iakiegożkolwiek porządku. Nic nie było w stanie zatamować wściekłości zarazy, dwadzieścia tysięcy ludzi, iak świadczy Zimorowicz, padło ofiarą. umierali po domach, ulicach i drogach, a kilku grόbarzy nie byli w stanie grzebać ciał umarłych".

Dr. Wiktor Legeżyński.

*) Dr. Czołowski zaś, obecny archiwarjusz miejski twierdzi, że ma w swem archiwum opisy do 30 epidemij morowych we Lwowie.

KRONIKA.

Djarjusz lwowski.

Wtorek 25 października.

O godz. 6 wieczorem w sali instytutu chemicznego posiedzenie Towarz. przyrodników im. Kopernika.

Teatr hr. Skarbka: „Bal w operze", operetka Heubergera. Początek o godz. 7 wieczorem.

Panorama racławicka na placu wystawy otwarta codziennie od godz. 8 rano do zmroku.

Kalendarz. Wtorek (25): Jana Kantego. — Wschód słońca o godzinie 6 minut 40, zachód o godzinie 4 minut 47.

Wiadomości osobiste. Naczelny dyrektor poczt i telegrafów, radca dworu Seferowicz, powrócił z podróży inspekcyjnej i objął urzędowanie. — Zastępca marszałka krajowego Antoni Jaxa Chamiec wyjechał na inspekcję budowy kolei lokalnej Chabówka-Zakopane, skąd powróci do Lwowa w środę.

Zarządzenie prezydenta. W sprawie wypadków przy budowach, które się stały przedmiotem interpelacji w radzie miejskiej, zarządził prezydent osobiście dochodzenia wszechstronne. Pragnąc jednak załatwić rzecz zasadniczo i uczynić na przyszłość wypadki takie niemożliwymi, wystosował pismo do wiceprezydenta magistratu p. Romanowskiego treści następującej:

„W ostatnich czasach wydarzyły się stosunkowo liczne wypadki przy budowach, które spowodowały cielesne uszkodzenia, a nawet i śmierć zatrudnionych przy budowie. Wydarzenia przy budowach w ulicy Dąbrowskiego i przy ulicy Dwernickiego, jakoteż w kamieniołomie na Cetnerówce były skutkiem bądź to nieumiejętnego, bądź też niedozwolonego przez władze prowadzenia robót.

Wczesne wkroczenie władz przy powyższych budowach mogło było przez powstrzymanie tych nieprawidłowych robót zapobiedz nieszczęśliwym wypadkom, tak, jak się to stało w domach 1, 2 i 9 ul. Sykstuska i 1, 3 i 5 ul. Grodzickich, tudzież w ulicy Ścieżkowej, gdzie szybka interwencja i bezzwłoczne zarządzenia organów technicznych obroniły mieszkańców od szkodliwych następstw. Stwierdzając to ostatnie z uznaniem, muszę jednak właśnie dlatego podnieść, że zaniedbanie takichże prewencyjnych zarządzeń przy wspomnianych na wstępie wydarzeniach w ulicach Dąbrowskiego i Dwernickiego, tudzież na Cetnerówce nie może być pominięte milczeniem.

Polecam więc jw. p. wiceprezydentowi, ażeby za współdziałaniem wp. naczelnika urzędu budowniczego zarządził szczegółowe dochodzenia co do przebiegu powyższych nieszczęśliwych wypadków, niemniej, który organ magistratu miał sobie poruczony nadzór techniczny i bezpieczeństwa budów i robót w dniach wypadków w ulicach Dąbrowskiego i Dwernickiego i na Cetnerówce i na tych podstawach zbadał i wnioski przedłożył, czy i jaka wina zaniedbania należytego dozorowania tych robót cięży na tych dozorujących lub innych organach magistratu.

Zarazem zechce jw. p. wiceprezydent w porozumieniu z naczelnikiem urzędu budowniczego przedstawić mi swe wnioski co do tego, jakie reformy lub zarządzenia poczynićby należało, ażeby ludność ochronić na przyszłość od powtarzania się tego rodzaju nieszczęśliwych wypadków.

Zauważam, iż mam uzasadnioną podstawę do wyrażenia niepłonnej nadziei, iż jeżeli z tego powodu okazałaby się konieczna potrzeba zwiększenia kontrolujących sił technicznych — reprezentacja miasta Lwowa dla ochrony życia i zdrowia mieszkańców postara się o odpowiednie na ten cel fundusze i siły.

Rezultat dochodzeń i wniosków wyczekuję do dni ośmiu."

Zarządzenie to uważamy za bardzo wskazane i nie wątpimy, że wnioski, jakie przedłożą obaj wezwani panowie, usuną wadliwości dziś istniejące głównie z powodu braku sił odpowiednich.

Posiedzenia rady miejskiej odbędą się we wtorek i środę 25 i 26 bm. każdym razem o godzinie 6 wieczorem.

Na porządku dziennym między innemi: Sprawa jubileuszu cesarskiego; przyjęcie warunków subwencji sejmu dla budowy nowego teatru; regulamin fundacji i komisji im. Bilińskich; sprawa własności i używania bereł (literatów i rady miejskiej); sprawa organizacyj uzupełniających szkół przemysłowych; sprawa utworzenia targowicy dla nierogacizny; prośba o udzielenie subwencji na budowę kolei Lwów-Winniki; sprawa usunięcia stawku w parku Kilińskiego; sprawa budowy drogi ze Lwowa do Brzuchowic; sprawa terminu zakupna placu Solskich przez rząd; prośba wydziału Towarzystwa muzycznego o sprzedaż gruntu na wałach gubernatorskich; sprawa organizacji szkoły im. Zimorowicza.

Szkarlatyna we Lwowie. Dowiadujemy się, że u grajzlernika żydowskiego przy ul. Żółkiewskiej l. 64 jest chłopiec chory na szkarlatynę, a mimo to okoliczna ludność kupuje żywność w tym sklepiku. W ogóle podobno na Żółkiewskiem wystąpiła szkarlatyna, a w szkole św. Marcina miało być kilka wypadków słabości. Komunikujemy to władzom zdrowotnym.

Nowe utrudnienia. W warszawskim urzędzie pocztowym zaprowadzono nowe utrudnienia w przyjmowaniu listów poleconych, przeznaczonych za granicę. Obecnie adres na takich listach ma być pisany i w języku rosyjskim. Listy polecone, wysyłane do Austrji i Niemiec, muszą być adresowane po niemiecku i po rosyjsku. — Dawniej takie listy były adresowane tylko po niemiecku, a listy, przeznaczone do Galicji, mogły być adresowane tylko po polsku; obecnie zaś urząd pocztowy warszawski wymaga, aby znajdował się na tych listach także adres rosyjski. Czy zmiana ta, w wysokim stopniu utrudniająca korespondencję pocztową i szczególnie dla stosunków handlowych niedogodna, nastąpiła z inicjatywy zbyt gorliwych kierowników samego urzędu pocztowego w Warszawie, czy też skutkiem wskazówki, udzielonej z góry, to się wkrótce okaże, jeżeli bowiem nie ma w tem wyraźnej woli rządu samego, zaślepionego tendencją russyfikatorską, to oczywiście niedogodność ta rychło zostanie usuniętą.

Nową aptekę otworzono w Toporowie.

Obchód Kościuszkowski odbył się w Kołomyi, urządzony przez tamtejsze towarzystwo „Sokoła" ze współudziałem towarzystwa muzycznego im. Moniuszki. Program wypełniły: przemówienie, popisy muzyczne i wokalne ćwiczenia „Sokołów" z maczugami i na drążku, a nareszcie allegorja sceniczna St. Rossowskiego pt. „Z zmroku w świt".

Obchód Kościuszkowski w Czerniowcach, przygotowany przez wydział tamtejszego „Sokoła", odroczono na początek listopada.

Ankieta szkolna. Z Krakowa donoszą: Tutejsze koło Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych obradowało nad referatem komisji swojej w sprawie reformy szkół średnich. Referent prof. Kunz przedstawił potrzebę zaprowadzenia jednolitej szkoły średniej (gimnazjum realne), a obok niej pozostawienia na razie gimnazjów klasycznych i szkół realnych. Mowca, w obszernym, rzeczowym, z widoczną znajomością rzeczy wypowiedzianym referacie, motywował projekt. W dyskusji zabierali głos prof. Winkowski, Matusiak, dyr. Sołtysik i Petelenz. Najważniejszym był głos dyr. dra J. Petelenza, jako jednego z członków powołanej z ramienia wydziału krajowego ankiety. Dyrektor Petelenz wyraził zapatrywanie, że gimnazjum i szkoła realna powinny się do siebie coraz bardziej w swej organizacji zbliżać, że należy dać obu zakładom takie samo uprawnienie, a wtenczas jednolita szkoła średnia sama przez się powstanie. Wówczas społeczeństwo za jednym, lub drugim oświadczy się typem.

Za wnioskami referenta oświadczyła się mniejszość — większość wstrzymała się od głosowania. W rezultacie zgodzono się na wniosek prof. dra Jordana, aby jeszcze w poniedziałek 24 bm. zastanowiono się nad sprawą na podstawie kwestjonarjusza wydziału krajowego i aby na to posiedzenie imiennie zaproszono krakowskich członków ankiety. Referat nad kwestjonarjuszem powierzono prof. Kunzowi.

Proces przeciw zabójcy cesarzowej Luccheniemu rozpocznie się dopiero dnia 10. listopada r. b.

Ksiądz Stojałowski cofa się od wydawnictwa gazet *Wieniec* i *Pszczółka*. Dalsze wydawnictwo tych pism ludowych podejmuje grono prywatnych osób z pewnemi zmianami w ich tendencjach. Pisma te mają wychodzić w Krakowie i mają być pozbawione kierunku antisemickiego.

Zamach skrytobójczy. Z Jasła donoszą 23. października: Wczoraj o godzinie 10. w nocy wykonano tu zamach skrytobójczy na osobie księdza hr. Wiśniowskiego. Jest on pomocnikiem katechety przy tutejszem gimnazjum. W krytycznym dniu wyszedł późnym wieczorem na rewizję pomieszkań uczniów koło rzeźni miejskiej. Jest to ciemny, błotnisty zaułek nad rzeką Jasiołką. Nie świeci się tam wcale lampa, stójkowego tam nigdy niema. Kiedy ksiądz Wiśniowski powracał już do domu, wyskoczyło z ciemnego zaułka dwóch drabów, jeden z nich chwycił go za rękę i pchnął sztyletem czy nożem w okolicę serca. Szczęściem, mordercze narzędzie natrafiło na twardy pugilares i skończyło się na przedziurawieniu paltota i sutanny. Żandarmerja powiadomiona o tem, czyni poszukiwania.

Wybory do sejmu. Namiestnictwo rozpisało wybory uzupełniające do sejmu krajowego z większej własności byłego obwodu tarnowskiego (w miejsce p. Fr. Mycielskiego, który złożył mandat), oraz z większej własności żółkiewskiej (w miejsce ś. p. Polanowskiego) na dzień 30. listopada r. b.

Wypadek z bronią. Dnia 13 bm. w Szczawnicy niżnej (pow. nowotarski) na weselu Franciszka Mroczkowskiego wesoły urlopnik Jakób Salomon strzelał na wiwat z rewolweru i zranił przytem ciężko w biodro Jędrzeja Słowika.

Krakowski „anarchista". Sprawa okrzyku anarchistycznego w żydowskiej kawiarni, która przed kilku tygodniami narobiła nieco wrzawy w Krakowie, dostała się przed kratki sądowe. Faktowi temu, który sam w sobie był tylko bardzo płaski, świeża śmierć cesarzowej nadała pozory tragizmu. Wszelka aureola, którą wyznawcy tych samych przekonań, na szczęście bardzo w naszem społeczeństwie nieliczni, mogli otaczać dekadentycznego młodzieńca, musi przyćmić się wobec wyroku. Wszyscy świadkowie stwierdzili, że Nowaczyński był wówczas w stanie niepoczytalności. Sąd uznał go winnym przekroczenia ustawy o pijaństwie i zakłócenia spokoju publicznego. Nowaczyńskiego, który wyjechał na stałe do Monachjum, bronił w tutejszym sądzie powiatowym karnym jego zastępca prawny, dr. F. Kasparek. Według zeznań świadków Nowaczyński przyszedł w nocy do kawiarni Rosenstocka, gdzie w jednym z pokojów siedziało dwóch konduktorów kolejowych przy jednym stole, przy drugim dwaj bracia Żuławscy i p. Sierosławski. Nowaczyński, już dobrze podpity, przysiadł się do tego drugiego stołu. Gdy inni panowie pili piwo, Nowaczyński pił tylko wódkę. Podczas gdy czterej panowie toczyli rozmowę na tle zamordowania śp. cesarzowej, dwaj konduktorzy przy drugim stole prowadzili głośną rozmowę niemiecką. Tak ta rozmowa niemiecka, jak i ustawiczne spojrzenia, zwrócone na oryginalną co prawda osobę młodzieńca, wydawały się temu prowokacją, której on chciał koniec położyć. Pochwyciwszy więc za drugi kieliszek wódki, miał się odezwać do swoich:

— Ja ich tu wnet wystraszę!

Wystąpiwszy tedy naprzód, zawołał głośno, zwrócony ku Niemcom:

— Piję za zdrowie anarchistów, a komu się to nie podoba, ten niech mnie...

Wówczas Niemcy opuścili pokój, a za chwilę pojawił się ajent policyjny Bobak, który, nie aresztując nikogo, zapisał nazwiska obecnych.

Prócz tego Nowaczyński obwiniony był o przekroczenie z § 312 u. k., ponieważ nocą z dnia 27 sierpnia uchybił w słowach niedelikatnych czterem żołnierzom policyjnym, którzy utrzymują, że Nowaczyński nie był wtedy pijany.

Sąd uznając Nowaczyńskiego winnym przekroczenia § 1 ustawy o pijaństwie, oraz przekroczenia z § 312 u. k., skazał go na dwa tygodnie aresztu i na zapłacenie kosztów postępowania sądowego. Zastępca prawny dr. F. Kasparek zastrzegł sobie trzy dni do namysłu.

Z Czerniowiec smutne dochodzą nas wiadomości. W sferach kupców i przemysłowców Polaków zaczyna coraz więcej się szerzyć pociąg ku germanizacji. Widzieć można na polskich sklepach wyłącznie niemieckie napisy. Co jednak smutniejsza, że w ostatnich czasach pierwszorzędne firmy polskie, jakby demonstracyjnie usunęły polskie napisy. Tak np. nad cukiernią Kucharczyka przy ul. Pańskiej (przedtem Tesarza) usunięto tablicę z napisem „cukiernia", a umieszczono „*Conditorei*." Apteka Krzyżanowskiego z niewiadomych powodów usunęła napisek „apteka", a obok firmy: Fr. Krzyżanowskiego paraduje *Apotheke*", ruski napis, rumuński, a niema polskiego. Czyż nie jest smutne i bolesne? I to mają być podpory Polonji czerniowieckiej!!

Bułgarzy o Mickiewiczu. Poważny miesięcznik, wychodzący w Sofji, a wydawany przez profesorów sofijskiego uniwersytetu, *Bolgarski Pregled*, uczcił rocznicę mickiewiczowską pięknym artykułem, w którym nazywa twórcę „Pana Tadeusza" „olbrzymem słowiańskim i największym genjuszem, jakiego narody słowiańskie kiedykolwiek wydały". Także i inne pisma pisały obszernie o Mickiewiczu, między innemi organ stronnictwa rządowego *Mir* poświęcił naszemu wieszczowi szereg sympatycznych fejletonów.

W Pradze odbył się onegdaj „wieczorek polski", urządzony staraniem oddziału muzycznego „Klubu młodych". Program wypełniły głównie utwory Chopina, wykonane przez czeskiego pianistę p. Kridło, pieśni polskie Moniuszki, Żeleńskiego, Noskowskiego i Zarzyckiego, które odśpiewał p. Euzebjusz Rutkowski z Warszawy.

Dorożki i omnibusy elektryczne zaprowadzone zostaną wkrótce w Berlinie.

Pożar lasów. W Ameryce, w stanie Wiskonsin, spłonęły na ogromnej przestrzeni lasy. Setki osób straciło życie, a w tej liczbie zginęło i wielu Polaków.

Czy Andree powróci? Radca admiralicji Koldewey, znakomity znawca krain podbiegunowych, ogłosił w jednym z miesięczników niemieckich następujące uwagi o wyprawie Andrêego i przypuszczalnych jej losach:

Dnia 11. lipca minął rok, odkąd Andrée udał się w swoją nadpowietrzną podróż. Ludzie fachowi kiwali głową: wątpliwym im się wydawał rezultat tej wyprawy. Andrée jednak był pewien swego; wyrachowawszy sobie, że balon przy utracie pięćdziesiąt jeden metrów kubicznych dziennie gazu, potrafi się przez dni trzydzieści utrzymać w powietrzu. Koldewey zaś twierdzi, że rachunek taki, zbyt teoretyczny, w praktyce okazać się mial fałszywym, a balon w najkorzystniejszym wypadku, zaledwie tydzień mógł się utrzymać w powietrzu. Dokąd zaś dotrzeć mógł w tak krótkim czasie? Odległość z wyspy Duńskiej do Spitzbergu wynosi 1200 kilometrów, taką samą jest odległość od północnego wybrzeża Grenlandji do północnych brzegów Syberji jest 2000 kilometrów. Przypuściwszy zatem, że wiatr cały tydzień dmący w jednym z tych kierunków i z tą samą siłą, był porwał z sobą żeglarzy powietrznych, przyjąćby można za pewne, że wylądowali oni szczęśliwie na jednym z trzech wymienionych punktów. Ale hypotezy takiej postawić niepodobna, raz, że kierunek wiatrów na biegunie bardzo zmienny, a powtóre, że siła jego często niewielka, ustępuje nader często miejsca zupełnej ciszy. Balon opadł tedy niewątpliwie na tej olbrzymiej wodnej pustyni morza polarnego, a w najszczęśliwszym wypadku, udało się Andréemu i jego towarzyszom dostać się na jaką wyspę lodową; stać się to mogło najpóźniej w ośm dni po wzbiciu się balonu, a zatem w drugiej płowie lipca 1897 roku. Jeżeli zaś Nansenowi stokroć lepiej zaopatrzonemu i posiadającemu kilka zaprzęgów psów, nie udało się dotrzeć dalej jak dwieście kilometrów na północ, to tem mniej przypuszczać można, by Andrée potrafił był dotrzeć do lądu stałego; nie mając zaś dostatecznych prowiantów, niewątpliwie zginął z głodu. Nawet gdyby mu się było udało wylądować z balonem na północnem wybrzeżu Grenladji, to i tak odległość, jaka go dzieliła od okolic zamieszkałych przez Eskimosów, jest zbyt wielka, by ją Andrée mógł był przebyć, nie mając po temu odpowiednich środków. Wylądowanie w Syberji byłoby dlań niekorzystne, a nawet zgubne dla tych samych przyczyn. Gdyby zaś przypadkiem dostał się był na wyspy Szpicbergu, mielibyśmy już o tem dawno wiadomości. Tym sposobem trzeba się niestety rozstać z nadzieją ocalenia Andréego, który niewątpliwie zginął jako ofiara swych bohaterskich, ale zbyt nierozważnych przedsięwzięć.

Napoleon czarny. W kołach kolonizatorskich francuskich panuje wielka radość: wódz murzynów Samory, od lat 16-tu groźny i nieprzejednany wróg Francuzów w Sudanie, został wreszcie pojmany przez kapitana Gouraud i porucznika Jacquina, którzy za czyn ten będą z pewnością sowicie przez rząd wynagrodzeni. Od roku 1882, od wyprawy podpułkownika — dziś jenerała — Borgnis-Desbordes'a walczyli z nim bezskutecznie: Archinard, Humbert, Combes, Monteil, Audéond. Rozbijali go — on uciekał, a po jakimś czasie znów się zjawiał na czele t. zw. „sofów", których umiał uzbroić i wyćwiczyć po europejsku; nie dawno syn jego wymordował oddział kapitana Braulota, za co mu teraz grozi kara śmierci, gdy tymczasem sam Samory zostanie tylko prawdopodobnie zesłany do jakiejś odległej fortecy, jak inni dzicy królikowie, zwyciężeni i zdetronizowani przez Francję. Często Samory zawierał z Francuzami pokój, aby go rychło złamać; w r. 1887 nawet posłał do Paryża syna swego, Karamokho, który był uroczyście przyjmowany przez prezydenta rzeczypospolitej i jen. Boulangera, ministra wojny. Gdy powrócił, ojciec go podobno sam zabił, gdyż opowiadał o potędze i bogactwie Francji i odbierał tem ducha żołnierzom Samorego. Tak kończy ten człowiek ogromnych podobno zdolności, zwany Napoleonem czarnym, który, jak Napoleon biały, pochodził z rodziny ubogiej i nieznanej, a doszedł do panowania nad krajem znacznie większym od Francji!

Niedziela ostatnia przypomniała nam, że przecież jeszcze istnieje prawdziwa, piękna polska jesień, z blaskiem słonecznym i łagodnem powietrzem. Choć drzewa ogołocone z liści świadczyły, iż zbliża się zima, ciepłe podmuchy wiatru przypominać się zdawały jakby nadciągającą wiosnę. Nic też dziwnego, że wszystkie parki i ogródki podmiejskie zaroiły się publicznością, która raz jeszcze skorzystać chciała z pięknego dnia. Może to był ostatni! Do charakterystyki dnia onegdajszego dodać należy ogromną ilość ślubów, zawartych w różnych kościołach. To także oznaka zbliżającej się zimy.

Ankieta szkolna, zwołana przez wydział krajowy w sprawie reformy szkół średnich, rozpocznie obrady 27 bm. w wydziale krajowym. Ankiecie przewodniczyć będzie marszałek kraj. hr. St Badeni.

Ciekawa zagadka. Dziwną jest rzeczą, dlaczego w miejskiej radzie zdrowia niema lekarzy miejskich, którzy chyba najlepiej mogliby poinformować radę zdrowia o tem, jakie należałoby zarządzić środki przed grożącą dżumą. Tymczasem w komisji sanitarnej zasiadają niektórzy panowie, którzy mogą o wszystkiem rozprawiać — ale najmniej może o zarządzeniach sanitarnych. Wprawdzie lekarze miejscy są powołani do wykonywania uchwał tej rady, a regulamin nie przyjmuje ich w jej grono, to jednak jeżeli uwzględnimy fakt, że ci ludzie są przedewszystkiem wykształceni i fachowo uzdolnieni do orzeczeń w sprawach publicznej ochrony zdrowia — złożywszy rządowy egzamin fizykacki — wydaje nam się dziwnem, że w chwilach tak groźnego niebezpieczeństwa dla miasta, nie zasięga się także fachowej opinji lekarzy miejskich.

Ośmdziesiątą pierwszą rocznicę zgonu Kościuszki obchodzono onegdaj w „Gwieździe" śpiewem, deklamacjami, odczytem i odegraniem III. aktu „Kościuszki pod Racławicami". Nakoniec przedstawiono obraz z żywych osób pod tytułem: „Błogosławieństwo kosynierów". Publiczność zapełniła salę szczelnie, zapał był olbrzymi.

Nowa sygnalizacja odjazdu pociągów osobowych wchodzi w życie, jak to już czytelnikom wiadomo, z dniem 1. listopada r. b. Pozornie nieznaczne to zarządzenie ministerstwa kolejowego, które zupełnie spokojnie i bez wiadomych oznak zewnętrznych od godziny 12. w nocy dnia 1. listopada poczęwszy zmieni cały system dotychczasowej sygnalizacji odjazdu pociągów, wymaga należytego oswojenia się publiczności podróżującej.

Podróżni przyzwyczajeni dotąd do nawoływania konduktorów „odjazd" i „jazda" narażeni byliby na przykre zawody, gdyby już teraz nie pamiętali o tem, że od dnia 1. listopada wszelkie te wołania ustaną, a natomiast konduktor prowadzący pociąg gwizdawką dawać będzie sygnał, że pociąg ma ruszyć, że przeto czas ostateczny do bezzwłocznego wsiadania.

Konduktorzy stojący przy wagonach w dzień ręką, a w nocy latarką dawać będą sygnał prowadzącemu pociąg konduktorowi, że wszystko do odjazdu gotowe, poczem tenże trąbką da maszyniście do odjazdu. Cała ekspedycja pociągu odbywać się zatem będzie bez wszelkiego nawoływania ze strony personalu podróżnego. Konieczną przeto jest rzeczą, by podróżni we własnym interesie — podobnie jak wszędzie zagranicą, baczne mieli oko na rozkład jazdy pociągów i zegary.

Napady. Na Michała Mierzwińskiego, obywatela z Jałowca, napadli jego właśni parobcy, posiłkowani przez jego żonę i pobili go tak ciężko, że stacja ratunkowa musiała spieszyć mu z pomocą.

Na ulicy Sieniawskiej niewyśledzeni dotąd zbrodniarze napadli na szewca Jana Haraździ, a jeden z nich zranił go pchnięciem noża w piersi i w szyję. Pierwsza rana jest ciężka, gdyż nóż przebił płuca. Po udzieleniu pierwszej pomocy, odwieziono go do szpitala.

Nieszczęśliwy wypadek. Władysława Kadlera, ucznia szkoły realnej, drugi jego kolega trącił tak nieszczęśliwie, iż Kadler upadł i złamał prawą rękę.

Trzech żołnierzy z 15 pułku piechoty pokaleczyło onegdaj w szynku Samuela Buraka przy ul. Ruskiej zarobnika Jana Michla, zamieszkałego na ul. Serbskiej l. 2. Pokaleczonego bagnetami odstawiono do szpitala.

Samobójstwo rekruta. Onegdaj poderżnął sobie w koszarach przy ulicy Kurkowej gardło za pomocą brzytwy nowozaciężny żołnierz 80 pp. z drugiej kompanji, niewiadomego nazwiska. Przyczyną samobójstwa był prawdopodobnie wstręt do służby wojskowej.

O mandat posła do sejmu z gmin wiejskich powiatu nowotarskiego, złożony przez ordynata p. Tad. Czarkowskiego-Golejewskiego, ubiegać się ma Stojałowczyk dr. Michał Danielak.

Powódź. Z Lublany donoszą: Rzeka Wippach wystąpiła i zalała całą dolinę. Domy w Wippach stoją pod wodą.

* **Towarzystwo kursów akademickich dla kobiet** urządza w roku 1898/9 dwa kursy wykładów. Każdy kurs trwać będzie sześć tygodni. Kurs pierwszy (jesienny) rozpocznie się d. 3 listopada 1898, kurs drugi (zimowy) d. 16 stycznia 1899. W kursie pierwszym odbędą się następujące wykłady: Prof. dr. Dembiński „Powstanie i początki nowożytnego społeczeństwa." Dr. Ernst „Układ słoneczny." Prof dr. Ludwik Finkel „Polska za Jagiellonów," Dr. German „Najważniejsi pisarze skandynawscy." Prof. dr. Kadyi „O sercu i czynniach krwionośnych." Dr. Al. Lisiewicz „Zarys prawa państwowego. Prof. dr. Radziszewski „Zarys chemji organicznej." Prof. dr. Twardowski „Zasadnicze pojęcie etyki." Prof. dr. Zakrzewski „O elektryczności." Otwarcie kursu jesiennego odbędzie się we czwartek d. 3. listopada o godz. 5 w instytucie chemicznym uniwersytetu. Po przemówieniu prezesa Towarzystwa p. radcy dworu Ćwiklińskiego wygłosi prof. dr. Radziszewski odczyt p. t. „Z przeszłości chemji." Zgłoszenia pań, pragnących uczęszczać na wykłady, przyjmuje sekretarjat Towarzystwa (instytut chemiczny uniwersytetu ul. Długosza 6) codziennie w czasie od d. 27 października do 2 listopada między godz. 3 a 5 popołudniu. Warunki wpisu etc. zawiera spis wykładów, który wraz z arkuszami wpisowymi otrzymać można w księgarniach pp. Seyfartha i Czajkowskiego, oraz H. Altenberga.

* **Ślub.** Z Brzeżan donoszą nam, że ślub panny Antoniny Garlickiej — córki dr. Tomasza Garlickiego, tamtejszego ogólnie miłowanego i szanownego profesora gimnazjalnego — z p. Mieczysławem Tadeuszem Szymańskim, odbędzie się 25 bm. w świątyni Częstochowskiej na Jasnej Górze.

Notatki literackie i artystyczne.

Repertoar teatralny. W teatrze hr. Skarbka: Dziś we wtorek „Bal w operze", operetka; jutro w środę „Szalawiła", komedja w 5 aktach Kazimierza Glińskiego; we czwartek „Bal w operze", operetka.

Z teatru. Sobotnie przedstawienie popołudniowe, przeznaczone dla młodzieży szkolnej, stały się wobec banalności bieżącego repertoatu dramatycznego jedyną sposobnością, dzięki której możemy jeszcze twarzą w twarz stanąć naprzeciw wielkiej poezji i rozkoszować się jej czarem. Z jakąż satysfakcją po rozpaczliwie bezbarwnych i wodnistych produkcjach Schöntanów i Kadelburgów wszelkiej narodowości, pochłania się melodję słów i głębię myśli prawdziwych mistrzów dramatu. Jest się istotnie hojnie wynagrodzonym za cały tydzień teatralny, poświęcony sukcesom kasowym i gustowi galerji. Zamieniły się pod tym względem role. Lekceważone popołudnia idą na ofiarę kapłanów, a eleganckie wieczory, przeznaczone kwiatowi inteligencji, oddaje się Kalchasom, których błazeńskie dzwonki brzmią coraz okleparnej i monotonniej. W sobotę popołudniu wobec przepełnionej widowni wystąpił p. Gustaw Fiszer w „Kupcu weneckim" jako Szajlok i dał nam jedno z tych swoich nieporównanych, świetnych studjów duszy ludzkiej, któremi wzbił się na same wyżyny sztuki dramatycznej. Przez wdzięczność za zadowolenie, jakie każdy odniósł, słuchając dzieła genjalnego poety w takiej interpretacji, grzmiały też co chwila gorące oklaski, w których prócz najznakomitszego dziś polskiego Szajloka, znaleźli swój udział także pp. Czaplińska, jako opromieniona czarem miłosnym Jessika, Stachowiczowa, Walewski i inni.

Rada państwa.

Stosunek sił lewicy i prawicy, wedle rozdanego w izbie „wykazu komisyj i klubów". przedstawia się jak następuje:

Lewica: Niemiecka opozycja obejmuje zjednoczenie (ale teraz już bez *Gemeinbürgschaft!*) pięciu klubów, mianowicie:

	głosów
Niem. stronnictwo postępowe	35
" " ludowe	42
Grupa Mauthnera	11
Klub wiernokonstytucyjnej własn. ziem.	28
Grupa Schönerera	6

Z niemiecką opozycją głosują nadto zazwyczaj:

Klub Włochów	19
Socjaliści	15
Grupa ks. Stojałowskiego	7
Polscy ludowcy	4
Z koła „dzikich" około	15

wskutek czego okazuje się siła opozycji w liczbie głosów rozporządzających 182

Prawica rozporządza następującym zastępem:

Koło polskie	56
Klub wolnomyślnych posłów czeskich	61
Czeska wielka własność ziemska	19
Centrum (klub Falkenhayna)	6
Katoliccy niemieccy konserwatyści	28
Chrześcijańskie słowiańskie zjednoczenie (Słowency, Kroaci i Rusini)	35
Rumuni	5
Ogólna siła prawicy — głosów	210

(Sprawozdanie telegraficzne i telefoniczne.)

Cieplice 24 października. W Uściu odbył się wiec radykałów niemieckich, który zaprotestował przeciwko nowej taktyce opozycji w radzie państwa. P. Wolf wygłosił mowę, w której w ostrych słowach napadł na rząd i liberałów.

Równocześnie odbyli zebranie także socjaliści, na którem powzięto rezolucję pochwalającą nową taktykę socjalistów i uchwalono wotum zaufania posłom socjalnym w radzie państwa.

Wiedeń 24 października. Wieści o tem, iż poseł Forst ma zostać szefem sekcji w ministerstwie handlu są bezpodstawne.

Wiedeń 24 października. Ze strony czeskiej donoszą, że klub ks. Stojałowskiego rozpadł się, a mianowicie, że wystąpili z niego wszyscy posłowie, którzy utworzą nowy klub pod przewodnictwem p. Danielaka, ks. Stojałowski pozostanie tylko z Szajerem. O ile w tem donie-

---

spełnienia zależy nasze życie, musimy je mieć i wobec natury społecznej, bo one warunkują nasze szczęście. Oplecione dokoła siecią obowiązków życie — w miarę spełniania ich — nabiera wartości. Konieczność śmierci nie stanowi jeszcze tragizmu. „Śmierć indywidualna nie zawsze jest wyrazem porażki życiowej. Jeżeli człowiek zdołał spełnić należycie swe zadanie, jeżeli zdołał zrealizować treść swą psychiczną o tyle, iż nie czuje żadnych wyrzutów sumienia, żadnej dysharmonji wewnętrznej co do przedmiotowej strony ubiegłego życia, to śmierć nie jest dla niego pogromem. Schodzi z pola walki życiowej zadowolony"...

Dlaczego? Ponieważ towarzyszy mu świadomość, że jego trudy „rozrodzą się kiedyś w jedno wielkie zwycięstwo człowieczeństwa". Choremy osobniku, któremu odebrano wiarę, stwarzającą pełną blasków i szczęścia perspektywę raju, przyrzekającą wieczne życie duszy po śmierci ciała — czy jesteś zadowolony? Jeszcze nie? Więc dowiedz się, że „śmierć jest warunkiem życia, że jest potrzebną dla natury, że przez stopniowe usuwanie jestestw wprowadza ona zasadę ewolucji, że jest ogólnem prawem świata, z pod którego nikt się wyłamać nie może"... To przecież powinno wystarczyć do zniszczenia pessymizmu z powodu znikomości życia jednostki. Jeszcze nie? Więc zastanówcie się: Jesteście przecież nieśmiertelni. Wy musicie wprawdzie umrzeć, ale gatunek trwać będzie. Słyszycie — gatunek!

Odpowiadacie na to, że to was nie zadowalnia? Że wprawdzie i pojedynczy człowiek zmienia się co chwila i nie jest dziś tym samym, którym był wczoraj, ale te fazy życiowego procesu wiąże ze sobą cudowną nicią pamięć, która sprawia, że czujemy się jednością — podczas, gdy życie gatunku wyrasta po nad naszą świadomość, która musi się skończyć z indywidualną śmiercią jednostki. Więc i ten argument was nie przekonał? Więcej nie ma w zapasie ani dr. Złotnicki, ani pozytywizm. Jesteście chorzy na nerwy.

Dopóki człowiek będzie istniał na ziemi, dopóty duch ludzki nie przestanie stawiać na szczycie swojej myśli dręczącego pytania: jaki cel ma życie? Religja da mu zawsze zaspokojenie pozytywne, ukazując w dali obrazy wiecznego szczęścia; filozofja pessymistyczna zaspokoi go negatywnie, nie każąc się spodziewać niczego, zdzierając różowe osłonki nadziei z nędzy ziemskiego życia. A pozytywizm? Pies schoppenhauerowski przemawia skuteczniej, aniżeli jego wszystkie wywody o zadaniach jednostki wobec gatunku.

a. c.

sieniu jest prawdy, nie wiadomo, to atoli jest faktem, że p. Danielak był u pp. Engla i Herolda i oświadczył im, iż członkowie klubu Stojałowskiego z mową jego nie solidaryzują się.

Wiedeń 24 października. Izba posłów odbędzie w tym tygodniu posiedzenia we wtorek i czwartek. Obrady komisji ugodowej z powodu, iż mowcy z większości zrzekli się swego głosu, skończą się już we środę.

Wiedeń 24 października. Rokowania między hr. Thunem a delegatami stronnictwa chrześcijańsko-słowiańskiego trwały w sobotę przez cały dzień, a brali w nich udział także pp. Biliński i Jaworski.

Słoweńcy i Rusini, nie wdając się w szczegóły, oświadczają, że są z przebiegu rokowań zadowoleni.

Dżuma w Wiedniu.

Lwów wobec dżumy.

Pod hasłami: „strzeżonego Pan Bóg strzeże" zebrała się wczoraj w sali magistratu miejska komisja zdrowotna pod przewodnictwem prezydenta miasta dra Małachowskiego. Obrady trwały dwie godziny: od 11 do 1. Wrażenie, jakie odnieśliśmy z nich, nie daje absolutnie żadnych podstaw do obawy, ażeby miastu lub krajowi naszemu groziło jakiekolwiek niebezpieczeństwo z powodu znanych kilku wypadków dżumy w szpitalu wiedeńskim. Strach ma wprawdzie wielkie oczy i pomimo braku wszelkich słusznych przyczyn znalazło się już sporo osób, którym się zdaje, że tchnienie zarazy musi koniecznie z zamkniętego i ściśle izolowanego terenu szpitalnego w Wiedniu wtargnąć do Lwowa, lecz takie denerwowanie się mogłoby istnieć równie dobrze z tego powodu, że dżuma grasuje w Indjach lub w Persji. Wypadki wiedeńskie są tak nieznaczne, a środki ostrożności, jakie przedsięwzięto, tak rozległe i wyczerpujące, że rozszerzenie się zarazy jest czystem niepodobieństwem.

Publiczność nasza może z zupełnym spokojem śledzić przebieg paru wypadków w Wiedniu. Co innego jednak władze, czuwające nad bezpieczeństwem ogółu. One są obowiązane przewidywać najgorsze, chociażby na razie wszelkich podstaw pozbawione ewentualności i energicznie zabrać się do przygotowania środków zaradczych na każdy wypadek. Taki cel wytknęła też sobie miejska komisja zdrowotna, zbierając się na posiedzenie wczorajsze. Fizyk miejski dr. Pawlikowski przedstawił pokrótce, na czem polega istota dżumy i zauważywszy bardzo słabą odporność jej bakcylusa, podniósł, że przez kulturę osłabiają się one jeszcze bardziej i tracą w znacznej części swoją pierwotną siłę zarażania — tak, iż o zarazie wybuchłej z ich powodu mowy prawie niema. Wogóle pomimo zdarzenia się poszczególnych wypadków nie było jeszcze nigdy przykładu, aby laseczniki hodowane w laboratorjach stały się przyczyną epidemji, dlatego i tym razem obawy są bezpodstawne.

Po obszernej dyskusji, w której zabierali głos pp. wicepr. Romanowski, rektor dr. Szpilman, prof. Pawlewski, dr. Sztembart, dr. Pisek, chemik Włodzimirski, radca mag. Gorecki, uchwalono polecić miejskiemu urzędowi budowniczemu wypracowanie planów na baraki, przyjąć zaofiarowane przez namiestnictwo baraki dekerowskie, dobrać do komisji delegatów z namiestnictwa, policji i wojskowości, zalecić lekarzom dzielnicowym czuwać nad czystością i wydać odezwę do mieszkańców, że jakkolwiek wobec środków ostrożności, jakie zarządzono w Wiedniu, nie istnieje dla Galicji żadne niebezpieczeństwo, jednakże nie zawadzi przestrzegać pilnie czystości i o ile możności zwiększyć ją.

Co prawda i bez dżumy ten ostatni zbytek nie zawadziłby zarówno w samym Lwowie, jak wogóle na całej przestrzeni naszej ściślejszej ojczyzny.

* * *

Z Wiednia donoszą nam 23 bm. Na ustach wszystkich tylko dżuma, wszyscy zajmują się losem osób, izolowanych w szpitalu epidemicznym, wszędzie słyszysz tylko nazwiska: Barisch, Müller, Pecha i Hochegger.

Dyrekcja szpitala Franciszka Józefa, w którym znajduje się szpital epidemiczny, rady sobie dać nie mogła z odpowiedziami na ciągłe zapytania, które jej z wszystkich stron czyniono; urzędnik pełniący służbę przy telefonie ochrypł, wreszcie musiano ogłosić, iż nikomu wcale więcej odpowiadać się nie będzie. Tłumy publiczności snują się po pod szpital powszechny przy Alserstrasse i pod szpitalem Franciszka Józefa po Triesterstrasse. Dzienniki rozchwytywane w jednej chwili rozchodzą się w mnóstwie egzemplarzy.

Wczoraj telefonowałem wam treść biuletynów wydawanych przez fizykat miejski do godz. 7 wieczorem.

Następne biuletyny opiewają: Sobota godz. 9 wieczorem: Stan zdrowia dra Müllera i dozorczyni Pechównej niezmieniony. U Hocheggerowej dreszcze ustały, natomiast temperatura podniosła się do 39 stopni.

Sobota godz. pół do 11 w nocy: Stan zdrowia dra Müllera nie polepszył się, temperatura 37·2, chory częściowo nieprzytomny i majaczy, usta i błony śluzowe sine (cyanoza).

Stan Pechównej niezmieniony. Hocheggerowa: ciepłota 38·2; śpi dobrze.

Sobota godz. pół do 1 w nocy. Redakcja *N. fr. Presse*, na zapytanie telefoniczne wystosowane do dyrekcji szpitala Franciszka Józefa otrzymała odpowiedź, że u internowanego tam sługi szpitalnego Noego wystąpiła gorączka, temp. 37·8, a u dra Müllera nastąpił ogólny zanik sił, i jak się telefonujący urzędnik wyraził, temperatura śmiertelna.

Sobota, godz. 2 w nocy. Biuletyn fizykatu miejskiego opiewał: W stanie zdrowia dra Müllera nie nastąpiła żadna zmiana.

Dr. Ghon, którego dziś nad ranem zapytywałem, czy ma jaką nadzieję, aby dr. Müller wyszedł cało, odparł, iż wcale żadnej nadziei nie żywi, gdyż, jak sądzi z biuletynów, dżuma tak silnie i w tak ostry sposób wystąpiła u Müllera, że nawet jego nadzwyczaj silny organizm tego nie wytrzyma.

Dr. Müller zupełnie świadom niebezpieczeństwa, w jakiem się znajduje, spisał swój testament. Z Gracu przybył brat jego, ale naturalnie do chorego go nie przypuszczono i wcale się z nim nie widział.

Ogólny podziw budzi tu dr. Müller i jego wielkie poświęcenie się dla Barischa i chorych dozorczyń; sam ofiarował się czuwać nad nimi, gdyż jak pisał we czwartek do rodziców, tchórzostwem byłoby, gdyby on jako lekarz w tak ważnej chwili się usunął. Jestto jeden z najzdolniejszych lekarzy, przed którym świetna otwierała się karjera. Gdy w piątek przekonał się, że zapadł na tę straszną chorobę, od tej pory począł sam siebie uważać za przedmiot obserwacyjny. Ze spokojem i obojętnością, jakby tu chodziło o jakąś trzecią osobę studjował chorobę, jej powstanie i rozwój na własnem ciele. Sam o sobie postawił djagnozę i poczynił wszelkie zarządzenia w sprawie urządzenia dla siebie pokoju w szpitalu epidemicznym, nawet wskazał miejsce na którem postawiono jego łóżko.

Od chwili wejścia do szpitalu począł dokładnie badać swój stan, a spostrzeżenia, które czynił na sobie, spisywał w krótkich treściwych zdaniach na kartkach papieru. Oznaczył dokładnie, w którem miejscu uczuł pierwszy ból, mierzył sam dopóki mógł, swą temperaturę, liczył uderzenia pulsu, rysował krzywizny rozpoczynającej się gorączki, wogóle spisywał wszystkie uwagi, które wydały się mu, iż mają pełną wagę dla poznania choroby. Napisał także dwa listy: jeden, jak już doniosłem, do swoich rodziców do Gracu, drugi do prof. Nothnagla, na którego klinice pracował.

W chwili, gdy dr. Müller walczy ze śmiercią, prasy drukarskie drukują pierwsze dwie części jego sprawozdania z wycieczki naukowej do Bombaju, dokąd jeździł badać dżumę.

Zagraniczne dzienniki doniosły, iż prof. Nothnagel także zachorował na dżumę, a paryski *Temps* zamieścił telegram z Wiednia, donoszący o śmierci Nothnagla i podający jego nekrolog. Prof. Nothnagel natychmiast zatelegrafował do Paryża, że wcale nie umarł, lecz że ma się zupełnie dobrze.

Powagi naukowe wiedeńskie i berlińskie zapytywane o zdanie w sprawie wypadków wiedeńskich, jednomyślnie stwierdziły, że publiczności nie grozi wcale niebezpieczeństwo. Poczynione są takie środki ostrożności, iż zaraza wcale się dalej nie rozszerzy. Dr. Müller i obie dozorczynie, które pielęgnowały Barischa zachorowały tylko dlatego, że początkowo nie wiedziano, na co Barisch zachorował, myślano, że na zapalenie płuc i dlatego nie przestrzegano bardzo surowo środków ostrożności.

Robotnica Anna Anderst, z którą pozostawał Barisch w styczności, izolowana w szpitalu epidemicznym, ma się zupełnie dobrze.

Instytut patologiczno-anatomiczny, zkąd wyszła zaraza, został jak najdokładniej zdesinfekcjonowany. Zwierzęta, na których robiono doświadczenia z zarazkiem dżumy, wszystkie na rozkaz władzy sanitarnej spalono. W pokoju, w którym leżał chory Barisch, zerwano nawet podłogę i belki pod nią i spalono, a ściany i podłogi zlano sublimatem. Chorych leżących w 2 salach przytykających do pokoju, w którym leżał Barisch, izolowano.

Zdaje się więc, że zaraza dalej się nie rozszerzy. Na niebezpieczeństwo narażeni są jeszcze tylko dr. Poech i szarytki pielęgnujące chorych w szpitalu epidemicznym. Wielkie wrażenie w całem mieście wywarło poświęcenie się szarytek, które same zgłosiły się, aby czuwać przy chorych, choć wiedziały, na jak wielkie narażają się niebezpieczeństwo. Wielka ich odwaga i poświęcenie się dla chorych, budzą ogólny podziw.

Wczoraj pod przewodnictwem hr. Thuna odbyła się rada gabinetowa, na której między innemi omawianą była sprawa dżumy w Wiedniu.

Krajowa rada zdrowia odbyła w sobotę wieczorem posiedzenie plenarne pod przewodnictwem prezesa prof. dra Czyżewicza.

Rada zdrowia wyraziła zapatrywanie, że na razie nie zachodzi żadne niebezpieczeństwo zawleczenia dżumy do naszego kraju.

Uchwalono jednak na wypadek pojawienia się w Wiedniu symptomatów dżumy u osób, znajdujących się po za obrębem szpitala powszechnego — zarządzić najenergiczniejsze środki zapobiegawcze.

T. zw. Dekerowskie (składane) baraki, w liczbie pięciu, będące w posiadaniu Tow. czerw. krzyża, postanowiła rada odstąpić w razie potrzeby miastu, oraz wybrano pod nie miejsce na błoniach Janowskich.

Rada zdrowia uchwaliła z chwilą stwierdzenia wypadku **pozaszpitalnego** dżumy w Wiedniu — zaprowadzić w całym kraju nadzór nad osobami, przybywającemi z Wiednia.

Namiestnictwo wydało wczoraj okólnik do wszystkich starostów w kraju, oraz prezydentów m. Krakowa i Lwowa w sprawie ścisłego przestrzegania czystości i porządków po miastach, miasteczkach i wsiach, a mianowicie w domach mieszkalnych, na podwórzach, w studniach, miejscach ustępowych itd. Przepisy te są identyczne z tymi, które zalecono podczas wybuchu cholery.

(Depesze telefoniczne i telegraficzne).

Wiedeń 24 października. Dr. **Müller umarł** wczoraj w niedzielę o godzinie $^{1}/_{2}5$ rano.

Wieść o jego śmierci lotem błyskawicy rozeszła się po całem mieście i wszędzie wywołała gorące współczucie. Współczucie to potęgowały jeszcze dochodzące się do publiczności wieści o tem, z jakim heroizmem dr. Müller znosił swój los tragiczny.

Stan zdrowia Pechównej niezmieniony. Ciepłota jej wynosiła wczoraj rano 41, w południe 38·6, puls 104, oddech 32. Jest przytomną; nie ma wymiotów, ani bolu głowy. Dozorczyni Hocheggerowa po dobrze przespanej nocy z soboty na niedzielę, miała w niedzielę rano temperaturę normalną 37° i skarżyła się tylko na lekkie kłucie w boku. Stan jej wcale nie budzi obaw. W południe wynosiła temperatura 37·3°; kłucie w boku ustało, natomiast dał się czuć ból w łopatce; apetyt dobry.

Służący szpitalny Noe, czuwający koło chorych dr. Poech, szarytki i trzy internowane w szpitalu Franciszka Józefa osoby, mają się zupełnie dobrze. Relacja o osobach stojących w rozmaitych dzielnicach pod ścisłą obserwacją lekarską, z tego powodu, iż jest podejrzenie, że zostawały one w jakimkolwiek kontrakcie z jedną z osób, które umarły lub chorują na dżumę, brzmią pomyślnie.

Wiedeń 24 października. Zwłoki dra Müllera zawinięto, nie dotykając się ciała, w prześcieradło nasycone sublimatem, następnie włożono je do trumny drewnianej dokładnie zdesinfekcjonowanej i posypano trocinami, również nasyconemi materjami desinfekcyjnemi. Trumnę drewnianą, w której wszystkie fugi wysmarowano smołą, po zamknięciu włożono do trumny metalowej, jak najdokładniej zdesinfekcjonowanej, poczem hermetycznie ją zalutowano. **Pogrzeb odbył się dziś o godzinie 6ej rano.** Wzięli w nim udział tylko najbliżsi krewni zmarłego. Ustawiono ich w dość znacznej odległości od grobu i przybliżyć się nie pozwolono. Również księdzu, który pobłogosławił zwłoki, nie pozwolono zbliżyć się do trumny.

Wiedeń 24 października. Znajdujące się w szpitalu Franciszka Józefa na obserwacji osoby mają się tak dobrze, iż już dziś przypuszczać można, że dżuma w Wiedniu ograniczy się tylko na trzech osobach: Barischu, Müllerze i Pechównej.

Stan zdrowia Pechównej wprawdzie się nieco polepszył, ale niebezpieczeństwo śmierci nie usunięte.

O Hocheggerowej można przypuszczać, że się nie zaraziła dżumy.

Wydany wczoraj w niedzielę o godzinie $^{1}/_{2}7$ biuletyn fizykatu miejskiego opiewał: Pecha: Temperatura 38·9, puls 104, oddech 28; wymiotów nie ma; jest przytomną, bolów podmiotowych nie ma.

Hocheggerowa: temperatura 37·5, nie skarży się na kłucie w boku, stan jej zdrowia dobry. Badane pod mikroskopem plwociny nie wykazały ani bakcylów tuberkulicznych, ani bakcylów dżumowych.

Dr. Poech i szarytki mają temperaturę normalną. Noe ma temperaturę od 37·2 do 37·3 i ma się zupełnie dobrze. Inne trzy internowane osoby również mają się zupełnie dobrze. Od dziś dyrekcja szpitala nie będzie wydawała więcej biuletynów.

Wiedeń 24 października. Nieustający komitet sanitarny odbył wczoraj dwa posiedzenie: jedno o godzinie 10 rano, drugie o 6 wieczorem.

Wiedeń 24 października. (Godzina 4 rano). Stan zdrowia Pechównej budzi ciągle wielką obawę, chociaż gorączka nieco się zmniejszyła i chora zdaje się mieć lepiej.

Inne internowane w szpitalu osoby nie dają powodu do obaw.

Wiedeń 24 października. Dozorczyni Pecha przebyła noc spokojnie. Przytomność jej wróciła, wymiotów nie było. Reszta internowanych znajduje się w stanie normalnym. Jedna z szarytek dozorujących Pechównę poczuła się osłabioną i dostała bicia serca.

Wiedeń 24 października. Ostatnie biuletyny z szpitala epidemicznego opiewają jak następuje:

Dozorczyni Pecha miała w nocy temperaturę 38·4, nad ranem 37·4, kaszel i wymioty ustały. Chora jest zupełnie przytomna, przespała noc dobrze.

Dozorczyni Hochegger miała w nocy temperaturę 36·5, sen dobry, bez kaszlu, apetyt bardzo dobry.

Jedna z zakonnic, która pielęgnowała dra Müllera, uczuła się w nocy niedobrze. Temperatura wynosiła 37·4. Chora skarży się na bicie serca i wielkie osłabienie, jest w wysokim stopniu rozdrażnioną.

Służący Noe miał w nocy temperaturę 37·5, nad ranem 37·1.

Wszyscy inni internowani w szpitalu mają się zupełnie dobrze.

Co do dozorczyni Pechównej jest nadzieja utrzymania jej przy życiu.

Wiedeń 24 października. Dzienniki poniedziałkowe poświęcają zmarłemu drowi Müllerowi nadzwyczaj sympatyczne wspomnienia. Powszechnie uwielbiają go jako męczennika i bohatera wiedzy. Niektóre pisma przypominają, że protomedyk lwowski dr. Biesiadecki, na 10 lat przed wyprawą Müllera do Indyj, przedsięwziął podobnie bohaterską wyprawę do Rosji, gdzie również w niektórych okolicach szerzyła się okropna dżuma.

Wiedeń 24 października. Matka dr. Müllera na wieść o śmierci syna, przyjechała tu z Gracu i udała się natychmiast do dyrektora szpitalu epidemicznego z błagalną prośbą, aby ją wpuszczono do zwłok. Prośbie tej odmówiono, co na biedną kobietę tak oddziałało, że w pokoju dyrektora popadła w omdlenie i po dłuższej chwili dopiero odzyskała zmysły. Wczoraj po południu zrozpaczona matka zgłosiła się także do ratusza z prośbą, aby jej pozwolono zwłoki syna obejrzeć. I tej prośbie musiano odmówić.

Wiedeń 24 października. Dr. Paltauf zażądał telegraficznie od instytutu Pasteura w Paryżu nadesłania znaczniejszej ilości surowicy przeciwdżumowej. Dwa litry tego *serum* są już w drodze.

Wiedeń 24 października. Pogrzeb dra Müllera odbył się w obecności matki i dwóch braci zmarłego, radcy dworu dra Nothnagla, profesorów Frankla, Hellera, docenta Mannaberga, oraz aspirantów i słuchaczy kliniki dra Northnagla. 20 kroków od grobu pobłogosławił ksiądz zwłoki, poczem ozdobioną kwiatami trumnę spuszczono do grobu. W zastępstwie dr. Nothnagla, który nie mógł przemówić z powodu chrypki, wygłosił serdeczne wspomnienie pośmiertne dr. Frankl. Oprócz niego przemawiali jeszcze Haller i Mannaberg.

Wiedeń 24 października. Biuletyn wydany dziś o wpół do pierwszej w południe brzmi:

Dozorczyni **Pechówna**: przytomność zupełna, kaszlu niema, wymiotów również.

Dozorczyni **Hocheggerowa**: stan subjektywnie i objektywnie dobry.

Sostra miłosierdzia **Stillfried**, która pielęgnowała dra Müllera: ciepłota 37,3, znużenie ogólne.

Wszystkie inne osoby znajdują się w stanie normalnym.

Wiedeń 24 października. Zakonnicy Hillfried, jak również i dwom innym zastrzyknięto surowicę antidżumową.

Wiedeń 24 października. W chorobie Pechównej zaszedł stanowczo zwrot na lepsze. Wczoraj wstrzyknięto jej 50 gr. serum antidżumowego.

Namiestnictwo dolno-austrjackie zarządziło, aby w sali giełdowej wywieszane były biuletyny o stanie dżumy w Wiedniu.

W całem mieście panuje usposobienie o wiele spokojniejsze. Niepokój wzbudziła pogłoska o ucieczce dwóch szczurów, którym zaszczepiono zarazek dżumy, ale pogłosce tej zaprzeczono.

Wiedeń 24 października. Żandarmerja otrzymała polecenie wyśledzenia matki Barischa, która widziała się z nim na krótko przed jego śmiercią. Wyśledzono ją w jej rodzinnem miejscu Laa w Austrji dolnej i poddano opiece lekarskiej. Suknie, które miała na sobie, gdy była u syna, spalono.

Wiedeń 24 października. Na dzisiejszem posiedzeniu nieustającej komisji sanitarnej dawał jeden z zaproszonych zawodowców radę, aby desinfekcjonować wszystkie kanały Wiednia, słychać bowiem, że podczas pierwszego dnia słabości Barischa zemknęły z instytutu bakterjologicznego dwa zaszczepione dżumą szczury, jak wiadomo, najlepsze roznośniki zarazy.

Depesze telegraficzne i telefoniczne „Dziennika Polskiego".

Praga 24 października. Robotnicy czescy urządzili wczoraj uroczysty wieczór, na którym przedmiotem gorących owacyj był redaktor *Narodnich Listów* Klofac, który odsiedział w więzieniu wojskowem karę za to, że, jak wiadomo, podczas zebrania kontrolnego, gdy wywołano jego nazwisko, zawołał po czesku: *zde*, zamiast niemieckiego: *hier*. Ks. Stojałowski, który przybył do Pragi, aby wziąć udział w tym wieczorze, otrzymał na dworcu list od kierownictwa związku czeskich robotników, w którym powołując się na ostatnią jego mowę, wygłoszoną w parlamencie, a dotykającą także Czechów, proszono go, aby oszczędził sobie trudu i na zebranie nie przychodził.

Paryż 24 października. Wczoraj po południu odbyło się tu posiedzenie socjalistycznego komitetu nadzorczego. Po mowie anarchisty Sebastjana Faurea, w której było pełno wycieczek przeciw sztabowi jeneralnemu, Derouledowi, Drumondowi, Rochefortowi przyjęto porządek dzienny, wzywający wszystkich wolnych obywateli, aby połączyli się razem do walki przeciw reakcji i bronili wolności.

Paryż 24 października. Ajencja Hawasa donosi, iż alarmujące wieści o złych stosunkach między Anglią a Francją pozbawione są wszelkiej podstawy. Również nieprawdziwemi są wieści o prowadzeniu jakichś gorączkowych uzbrojeń w portach francuskich.

Perth (Szkocja) 24 października. Lord Rosebery miał tu wczoraj mowę, w której oddawał carowi najwyższe pochwały za jego projekt rozbrojenia, oświadczył jednak, że bez poprzedniego ułożenia planu, któryby mógł być wykonalnym, projekty o rozbrojeniu nigdy nie doprowadzą do uchwytnego rezultatu.

W sprawie Faszody sądzi mowca, iż ekspedycja Marchanda była wysłaną tylko dla badań naukowych. Gdyby się atoli okazało, że Marchand nie jest emisarjuszem cywilizacji, lecz emisarjuszem siły i gwałtu wówczas cała sprawa musiałaby wejść na zupełnie inne tory.

Cherbourg 24 października. Na rozkaz ministra marynarki przybędzie tu jutro kilka oddziałów wojsk.

Sofja 24 października. Sobranie zwołano na 27 b. m.

Rzym 24 października. Cesarz Franciszek Józef nadał kardynałowi Rampolli wielką wstęgę orderu św. Szczepana.

Praga 24 października. Na placu św. Wacława Niemcy zaatakowali laskami dwóch studentów czeskich. Jednego z napastników aresztowano, drugi zdołał uciec. Wzburzony tłum, który natychmiast zebrał się na placu, przybrał nieprzyjazną postawę wobec pewnego subjekta, za którym szedł aż do domu, gdzie mieści się stowarzyszenie niemieckich rzemieślników, dokąd się on schronił. Policja przeszkodziła dalszym ekscesom.

W ulicy Owocowej aresztowano jakiegoś czeladnika szewskiego za to, że uderzył laską przechodzącego ulicą studenta.

Wieczorem tłum uliczników przeciągał śpiewając przez ulicę Taborską. Policja rozprószyła go; dwie osoby aresztowano.

Werona 24 października. Na przedmieściu Santa Lucia zawaliła się część dachu na kościele; w gruzach walącego się dachu zginęło pięć osób, a dziewiętnaście jest ranionych, między niemi kilka ciężko.

Wiedeń 24 października. Z Gracu donoszą, jako pogłoskę, iż hr. Gleispach powołany będzie do trybunału kasacyjnego, a miejsce jego zajmie jeden z radców sądu w Zadarze, Słoweniec.

Wiedeń 24 października. Wczoraj hr. Murawiew w pałacu ambasady rosyjskiej przyjął wizytę hr. Gołuchowskiego, a wieczorem był u niego razem z rosyjskim ambasadorem hr. Kapnistem na obiedzie, w którym udział wzięli ministrrowie Thun, Kallay, Krieghammer i austrjacki ambasador w Petersburgu ks. Liechtenstein.

Budapeszt 24 października. W sejmie węgierskim odbywała się wczoraj w dalszym ciągu obstrukcja wprowadzona przy rozprawie nad rozporządzeniami indemnizacyjnemi. Z rozmaitych względów formalnych przewlekano dyskusję, przeplatając debaty licznemi głosowaniami. Pod koniec posiedzenia prezydent izby ostrzegł opozycję, że takie prowadzenie rozpraw jest niemożliwem, gdyż nawet z formalnego punktu widzenia, stanowi ono naruszenie prawidłowego przebiegu.

Londyn 24 października. Salisbury zwołał na przyszły tydzień radę gabinetową, która ma się zająć sprawą Faszody. Utrzymują, że Anglja nie zgodzi się na to, ażeby rząd francuski odwlekał w nieskończoność odpowiedź na postawione mu żądanie odwołania Marchanda i że Salisbury zdecydowany jest postawić ultimatum. Poprzednio jednak chce jeszcze zasięgnąć zdania wszystkich ministrów. Tu o niczem innem teraz nie mówią, jak o zatargu z Francją; umysły są nader wzburzone. Jakiś Irlandczyk przyzwoicie ubrany, widząc w oknie redakcji pisma *Punch* numer tego dziennika, w którym Marchanda skarykaturowano w postaci małpy, zbił szybę, wołając: *„Vive la France!"* Gdy go aresztowano oświadczył, że jest Irlandczykiem; gdyby był Francuzem, byłby redakcję wysadził w powietrze. Nazwiska swego nie chciał podać, wskutek tego zatrzymano go w areszcie.

Dzienniki tutejsze zaprzeczają twierdzeniu pism francuskich, jakoby Salisbury zmienił swe stanowisko i rozpoczął rokowania. Anglja obstaje przy żądaniu bezwarunkowego odwołania Marchanda. Pomimo tego wojowniczego tonu gazet, zapewniają jednakże w kołach dobrze poinformowanych, że nie należy się obawiać wojny. Wyższość Anglji nad Francją na morzu jest faktem, znanym wszystkim rządom. Jest z tego powodu nieprawdopodobną rzeczą, ażeby Francja zaryzykowała wojnę.

Londyn 24 października. Na wybrzeżu Karcadenshire rozbił się niemiecki parowiec rybacki, należący do Towarz. akcyjnego z Nordenham. Cała załoga, złożona z kapitana i 12 ludzi, utraciła życie.

Paryż 24 października. Władze cywilne usilnie starają się zatrzeć rozdrażniające wrażenie znanej plotki o wykryciu rzekomego spisku wojskowego. Świeżo prezydent ministrów wystosował list do ministra wojny jen. Chanoine tej treści: „Rząd prosił mnie, ażebym wyraził panu podziękowanie za pomoc, jakiej armja w ostatnich czasach mu udzielała i jestem szczęśliwy, że mogę to panu oświadczyć. Porządek utrzymany, praca spokojna znowu podjęta, a to dzięki krokom, przedsięwziętym przez dowódców armji, dzięki dyscyplinie wojska i zupełnej zgodzie między władzami wojskowemi a cywilnemi".

Paryż 24 października. „Księga żółta", przedstawiona parlamentowi, zawiera następującą depeszę francuskiego ambasadora w Londynie p. de Courcel do ministra spraw zagranicznych Delcassé: „Na konferencji ze mną oświadczył lord Salisbury, że oddział francuski, który zajął Faszodę, nie jest dostateczny do skutecznego oporu przeciw ewentualnemu atakowi wojsk egipskich i że zatem francuska okupacja Faszody nie może być uznaną za dokonaną. Ja przyznałem, że istotnie siły oddziału francuskiego są słabe, lecz jeżeli się kwestję roztrząsa z tej strony, to widocznie trzeba opuścić drogę dyplomatyczną.

„Wskutek tego Salisbury natychmiast zastrzegł się przeciw mniemaniu, jakoby chciał sprawę sprowadzić na te tory. W końcu oświadczyłem, że kwestję granicy między sferą angielską a francuską trzeba załatwić w ten sposób, że się drogę z doliny Bar el Gazel do Nilu uzna zarówno w interesie handlu francuskiego, jak i angielskiego za neutralną. Salisbury powtórzył, że tę kwestję przedstawi radzie ministerjalnej".

Na tem się kończą akta, znajdujące się w „Księdze żółtej".

Paryż 24 października. Żółta księga dotycząca kwestji panowania nad górnym Nilem, obejmuje 26 stronnic i zawiera, nie wliczając w to sprawozdania Marchanda, 31 dokumentów. Z wymiany depesz między rządem francuskim a angielskim, jakoteż z ogłoszonych rozmów między wybitnymi mężami stanu angielskimi i francuskimi wynika, że Francja obstaje przy tych samych prawach co do Faszody, na jakich Anglja opiera swoje prawa do Chartumu. Tak samo pierwsza jak drugi wydarte zostały barbarzyństwu. Zresztą Anglja obowiązaną jest wykazać się mandatem sułtana jako zwierzchnika chedywatu egipskiego. Francuski ambasador w Londynie oświadczył Salisburyemu, że nawet wówczas, gdyby Marchand miał się cofnąć z Faszody, byłoby bezwarunkowo nieodzownem poprzednie porozumienie co do granicy sfer wpływu obu państw. Salisbury oświadczył, że musi w tej kwestji osiągnąć porozumienie ze swoimi kolegami.

Stambuł 24 października. W piątek po obiedzie galowym udała się cesarzowa niemiecka w towarzystwie sułtana i ks. Burghan-Eddina wraz z 3 damami ze swojej świty i małżonką ambasadora niemieckiego br. Marschalla do haremu sułtana. Odbyło się wielkie przyjęcie połączone z koncertem i innemi produkcjami, które przeciągnęły się do północy. W haremie były matka, małżonka i 5 córek sułtana, wielka ochmistrzyni, służba żeńska, tudzież pierwszy eunuch.

Nazajutrz w sobotę para cesarska odjechała. O godz. pół do 6 wypłynęły okręty „Hohenzollern" i „Hertha" z tutejszej przystani, udając się przez morze Marmora i Dardanele do Palestyny.

Cesarz Wilhelm dostał od sułtana w prezencie kosztowny przycisk na biurko, ozdobiony wielkimi szmaragdami i innymi drogimi kamieniami; był on niegdyś własnością sułtana Mahmuda. Turecki minister spraw zagranicznych Tewfik basza otrzymał od cesarza Wilhelma złotą tytonierkę z miniaturowym portretem cesarza, pierwszy dragoman ambasady niemieckiej złotą tytonierkę z podpisem cesarza. Wielu członków ambasady, konsulatu, wielu Niemców pozostających w służbie tureckiej i innych wybitnych członków kolonji niemieckiej w Stambule otrzymało ordery.

Montecarlo 24 października. Tej nocy zakradł się do Grand Hotelu, w którym mieszkał książę rosyjski Pilowski (?), jakiś niewyśledzony dotychczas złoczyńca. Gdy książę wrócił do domu, złoczyńca z nożem w ręku zażądał od księcia wydania pieniędzy. Książę dał mu 70.000 franków gotówką i klejnoty wartości 3000 fr. Mimo to złoczyńca zabrawszy pieniądze i klejnoty pchnął księcia nożem i zranił go ciężko, a sam zdołał umknąć. Stan zdrowia księcia jest groźny.

Londyn 24 października. Z Pretorji donoszą o wybuchu groźnego buntu murzynów w Transwaalu. Wodzem murzynów jest Magato. Oddział Boerów pod dowództwem jen. Jauborta stoczył już krwawą i podobno zwycięzką walkę ze zbuntowanemi plemionami.

Przyjechali do Lwowa.

dnia 24 października 1898 r.

HOTEL EUROPEJSKI. J. Jarzymowski z Chłopczyc. J. Goldberg z Grzymałowa. A. Iskrzycki z Sanoka. J. Amster z Czerniowiec. E. Kallmann z Frankfurtu. J. de Honing z Holandji. M. Bohusiewicz z Kołomyi. Ks. Terlecki z Krzeszowic. B. Zawadzki z Warszawy. J. Baczilek z Sanoka. J. Kastner z Mostów. J. Lewicki z Orelca.

(19)

H. G. Wells.

Rok 280.701.

Fantasja z angielskiego.

(Ciąg dalszy).

Na takie hasło odrazu puściła się w pląsy, a i ja także zacząłem poddrygiwać ku jej wielkiej radości. Był to kankan, w połączeniu z tańcem szalowym, o ile poły mojego surduta nadawały się do takiego popisu; urozmaicałem go rozmaitemi *pas* własnego pomysłu; obdarzony jestem duchem twórczym.

Że pudełko zapałek zdołało się przechować przez tyle wieków, było faktem o tyle zdumiewającym, o ile dla mnie pomyślnym.

Lecz z wielkiem mojem zdumieniem, w tej samej gablotce, za szkłem znalazłem substancję, której nie spodziewałem, się tu zobaczyć, a mianowicie kamforę.

Chciałem już odrzucić ową niespodziewaną zdobycz, przypomniałem sobie jednak, że kamfora jest palną i że może mi zastąpić świecę. Schowałem ją więc do kieszeni. Po za tem nie znalazłem żadnych materjałów wybuchowych, ani też narzędzi, przy których pomocy mógłbym rozbić drzwi cokółu. Miałem jednak maczugę i zapałki. To też opuściłem galerję z wielkiem zadowoleniem.

Wreszcie doszliśmy do jakiegoś podwórka. Rosły na niem trzy drzewa owocowe. Usiadłem z Weną w ich cieniu; odświeżyliśmy się i nasycili.

Gdy zachód się zbliżył, począłem się zastanawiać nad swojem położeniem. Miałem najskuteczniejszą broń przeciwko podziemnym ludożercom — zapałki, kamforę. Zdało mi się, że najbezpieczniej będzie spędzić noc na otwartej przestrzeni, pod strażą ognia.

Nazajutrz rano obiecywałem sobie odzyskać maszynę *Czasu*. W tym celu miała mi służyć żelazna maczuga. Byłem pewien, że zdołam wywalić nią drzwi w cokole białego sfinksa.

XII.

Gdyśmy wyszli z pałacu, słońce było jeszcze na niebie. Postanowiłem dotrzeć do białego sfinksa, nazajutrz rano, a przed zapadnięciem nocy przebrnąć przez las, który mnie zatrzymał dnia poprzedniego.

Miałem zamiar rozpalić ognisko i pod jego osłoną przesiedzieć do świtu. To też po drodze zbierałem suche gałęzie i wkrótce miałem ich całą wiązkę. Noc już była, gdyśmy się dowlekli do lasu.

Przez dwa dni i jedną noc nie spałem wcale i byłem rozdrażniony, niespokojny, czułem, że mnie senność ogarnia, postanowiłem jednak zmódz ją koniecznie.

Nagle, u samego skraju lasu, ujrzałem postacie, które zaczajały się z poza drzew. Ogarnął mnie strach; przyśpieszałem kroku, wiedząc, że las ciągnie się na przestrzeni mili, a za nim jest miejsce otwarte. Tam niebezpieczeństwo było mniej groźne. Należało więc dotrzeć jak najprędzej do tej przystani.

Myślałem, że świecąc zapałkami i kamforą zdołam odstraszyć te widma. Lecz trudno było rozniecić zapałkę z wiązką drzewa pod pachą. Rzuciłem ją więc na ziemię z wielkim żalem.

Nagle przyszło mi na myśl rozpalić te gałęzie; sądziłem, że w ten sposób osłonię naszą ucieczkę. Lecz pomysł okazał się niefortunnym w następstwach. Czerwone języki, liżące moją wiązkę drzewa, były dla Weny zjawiskiem nieznanem i zdumiewającem. Chciała się nimi bawić i rzuciłaby się w płomienie, gdybym jej nie był wstrzymał, ale ją złapałem wpół, pomimo jej oporu i gwałtem pociągnąłem za sobą do lasu.

Przez krótką chwilę ognisko oświecało nam drogę. Obejrzałem się i dostrzegłem, że płomień rozszerzył się na krzaki przyległe i pełzł dalej w górę. Wena czepiała mnie się ze strachem. Zanurzaliśmy się w las coraz głębiej.

Przez pewien czas słyszałem tylko chrzęst suchych gałęzi pod stopami, szmer wiatru w liściach, swój własny oddech i tętno żył w skroniach. Potem doleciały mnie dziwne dźwięki i głosy, które już raz słyszałem w podziemiu. Widocznie nocne potwory wyszły na żerowisko i krążyły po lesie. Jakoż po chwili uczułem, że galaretowate ręce chwytają mnie za poły surduta, inne za rękaw. Wena drżała, jak liść. Czas już było rozniecić zapałkę, lecz chcąc wydobyć pudełko z kieszeni, musiałem swoją towarzyszkę z rąk spuścić. Uczyniłem to, a gdym sięgnął po zapałki, wśród ciemności rozpoczęło się u nóg moich szamotanie.

Wena broniła się w milczeniu, jej napastnicy wydawali dźwięki ostre. Wtem błysnęła zapałka. Podniosłem ją w górę i w świetle jej dostrzegłem pierzchających ludożerców. Co tchu wyjąłem z kieszeni kamforę, aby ją zapalić. Wena leżała u moich nóg. Schyliłem się nad nią przerażony. Ani drgnęła. Rzuciłem rozpaloną kamforę na ziemię, a sam ukląkłem przy swojej towarzyszce i wziąłem ją na ręce.

Podziemne potwory, spłoszone światłem, rozbiegły się. Słychać było szmer głuchy i odległy. Wena leżała omdlała. Próbowałem ją cucić, a gdym to uczynił, błysła mi straszna świadomość. Kręcąc się około rozpalenia ognia zmyliłem kierunek i nie wiedziałem już, w którą stronę podążać. Wobec tej niepewności uczułem trwogę szaloną. Trzeba było jednak powziąć decyzję i to szybko.

Postanowiłem rozniecić ognisko i roztasować się przy niem.

Złożyłem Wenę, wciąż zemdloną, na trawie i z wielkim pośpiechem zbierałem gałęzie i liście.

Kamfora wypaliła się. Znowu zaległy ciemności. Rozniecilem zapałkę: blask spłoszył dwa potwory, czepiające się Weny. Jeden przypadł do mnie, ale uderzyłem go z całych sił pięścią. Zapiszczał przeraźliwie, zachwiał się na nogach i upadł.

Rozniecilem drugą bryłę kamfory i układałem na niej stos gałęzi, przyczem zwróciło moją uwagę, że są bardzo suche; od mojego wtargnięcia w te czasy odległe, to jest już od tygodnia, nie spadła ani jedna kropla deszczu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ruch pociągów kolejowych obowiązujący z dniem 1. października 1898.

(Przyjazdy i odjazdy pociągów podane są według zegaru środkowo-europejskiego).

Do Lwowa przychodzą:

Z KRAKOWA na dworzec główny posp. 5·10 rano, osob. 9·05 rano, posp. 1·30 w południe, osob. 6·10 wieczorem, posp. 8·45 wieczorem, osob. 9·10 wieczorem.

Z PODWOŁOCZYSK na dworzec w Podzamczu osob. 3·04 w nocy, posp. 2·15 w południe, osob. 5·— popołudniu, posp. 9·39 wieczorem.

Z PODWOŁOCZYSK na dworzec główny osob. 3·30 rano, posp. 2·30 popołudniu, osob. 5·25 popołudniu, posp. 9·55 wieczorem.

Z CZERNIOWIEC osob. 6·45 rano, osob. 10·35 przedpołudn., posp. 1·50 w południe, osob. 5·40 popoł., posp. 9·45 wieczorem.

ZE STRYJA, ŁAWOCZNEGO, KAŁUSZA, CHYROWA, BORYSŁAWIA osob. 8·05 rano, osob. 1·40 w południe, osob. 10·30 w nocy, osob. 12·15 w nocy.

ZE SOKALA i RAWY RUSKIEJ osob. 7·55 rano, osob. 5·55 popołudniu.

Z TARNOPOLA i BRODÓW na Podzamcze osob. 7·50 rano; na dworzec główny osob. 8·15 rano.

Z JAROSŁAWIA i LUBACZOWA osob. 10·45 przedpołudn.

Z JANOWA osob. 7·40 rano, osob. 1·01 w południe.

Ze Lwowa odchodzą:

DO KRAKOWA osob. 4·10 rano, posp. 8·35 rano, osob. 8·50 rano, posp. 2·50 po południu, osob. 6·40 popoł., posp. 10·40 wieczorem.

DO PODWOŁOCZYSK z dworca głównego posp. 6·— rano, osob. 9.35 rano, posp. 1·55 popołudniu, osob. 11·— w nocy.

DO PODWOŁOCZYSK z Podzamcza posp. 6·15 rano, osob. 9·53 rano, posp. 2·08 popoł., osob. 11·27 w nocy.

DO CZERNIOWIEC posp. 6·05 rano, osob. 10·55 przedpoł., posp. 2·10 popoł., osob. 6·30 wieczorem, osob. 10·05 wieczorem.

DO STRYJA, SKOLEGO, KAŁUSZA, HREBENOWA, ŁAWOCZNEGO, CHYROWA, BORYSŁAWIA osob. 5·20 rano, osob. 9·15 przedpołudniem, osob. 3·— popołudniu, osob. 7·— wieczorem.

DO SOKALA i RAWY RUSKIEJ osob. 9·55 przedpołudniem, osob. 7·10 wieczorem.

DO TARNOPOLA z dworca głównego osob. 6·55 wieczorem; z Podzamcza osob. 7·15 wieczorem.

DO JAROSŁAWIA i SAMBORA przez Przemyśl osob. 4·55 popołudniu.

DO JANOWA osob. 8·45 rano, osob. 7·44 wieczorem.

Uwaga: Czas środkowo-europejski różni się od czasu lwowskiego o 36 minut a mianowicie 12 godz. w czasie środkowo-europejskim = 12 godz. 36 minut czasu lwowskiego.

Biuro informacyjne c. k. kolei państwowej przy ul. 3go maja w hotelu Imperial, udziela wyjaśnień w sprawach kolejowych, sprzedaje wszelkiego rodzaju bilety jazdy i rozkłady jazdy w formacie kieszonkowym.

Redaktor odpowiedzialny Dr. Kazimierz Ostaszewski-Barański. Właściciele i wydawcy: Dr. K. Ostaszewski-Barański, M. Schmitt i A. Milski. Z Drukarni M. Schmitta i Sp. pod zarządem Ludwika Ringla.